

Tak to było.
-----I. w Horochowie,

II/1597/I Komunikat

Siedziałem jak każdego dnia przy odbiorniku radiowym, gorączkowo szukając programu, w którym byłyby wiadomości o wojnie. Było to 17 września, czyli 17-ty dzień nieprawiedliwej napaści na Polskę. Matka nasza siedziała w kuchni z p. Gawrońską i Józią, służącą siostry i stamtąd dochodziły zapachy potraw - a siostra jeszcze nie wróciła z gimnazjum, a i brata nie było, bo poszedł z Mańkiem O, kuzynem do parku czy do rynku. Był to już czwarty dzień pobytu naszego na Wołyniu i powoli przyzwyczajaliśmy się do nowego otoczenia. A daleko od nas w Jasle pozostał nasz domek i ogród, który pozostawiliśmy na opiece p. Okońskiej, z nadzieją szybkiego powrotu do ukochanego miasta, już dostatecznie zmęczeni koszmarnym przemarszem w warunkach nienormalnych, przeżywając przygodę, która wydawała się nam snem ciężkim i bezlitosnym. Pamiętam jak 6 września przyszedł do mnie p. Ślusarczyk i przekonywał mnie bym nie opuszczał miasta, bo te fale ludzi idących na wschód, by jakoś przeczekać, wykazują dosadnie nonsensowność Exodusu polskiego. A mnie nie przerażały fale uchodźców idących przez Jasło bo wierzyłem, że w końcu wojna się skończy, jeśli oczywiście wykorzystana zostaną "rezerywy" ludzkiego materiału, który parł na wschód, bo tak zalecały komunikaty radiowe, bo każdy młody marzył by nie biernie, ale czynnie wystąpić przeciw najeźdźcy. I liczyliśmy na potęgę sojuszników i na jakiś cud, jak to było przed laty nad Wisłą. Nie pozostałem w Jasle - musieliśmy razem przeczekać zmagania u siostry na Wołyniu i o ile będzie potrzeba zgłosić akces ochotniczy do walki.

I poszliśmy. My obaj z bratem marzący o czynnym udziale w obronie kraju i chcieliśmy, aby matka u siostry przeczekała zawieruchę wojenną - bo najlepiej jest być razem. Zresztą te masy "uciekierów" podtrzymywały nas w postanowieniu, że słusznym jest jedynie być na spokojnym wschodzie Polski. Koszmar nie podróż - niemal cała droga na piechotę, przeważnie z małymi wycieczkami, z noclegami po stodołach, w lasach, na stertach kamieni, które służyć miały dla umocnienia gościńców, w głodzie często, ale nie w chłodzie, bo wrzesień 1939 był ciepły i bezdeszczowy, dziwnie piękny i wspaniały dla najeźdźcy.

Na drodze masy ludzkie, tych którzy szli z nadzieją, że dobrze robimy, oddziały wojska polskiego, furgony, konie i samochody i coraz bardziej uwidaczniająca się bezcelowość tego marszu-co potwierdzały początkowo naloty samolotów wroga, potem walki, i znowu nieporadność wędrowców i wzajemne pocieszanie się i krycia się po lasach, prośby o chleb, widoki pożarów, pobite zwierzęta, -to znowu porzucane toboły, potem samochody, jakie ludzkie i co raz bardziej zmienne nastroje mieszkańców mijanych wiosek i miasteczek a wreszcie niewiara w osiągnięcie celu podróży. To odgłosy walk, to przerażające widoki gromad ludzkich, a raczej "wraków" ludzkich i masy żołnierzy, którzy kryli się po lasach i rowach porozbijane pociągi, palące się osiedla i wrogość nie-polskiego pochodzenia obywateli i wiadomości o klęskach i niemocy sojuszników. Nieraz karmili nas żołnierze, nieraz spotykały się grupy ludzi ze wszystkich zakątków Polski i nikt nie rozumiał wojny. A ile ginęło ludzi, a ile osób chorowało-jakie koszarne widoki i znowu ~~xxxx~~ klucusowe pojazdy.

A jednak dotarliśmy do Horochowa, chociaż nie wszyscy, bo w lesie poza Strzyżowem pozostał Zygmunt S., idący z nami, a matka słała się na nogach, ale uparcie szła z nami i dalej nieznane. A Horochów małe miasteczko^z dużą ilością Żydów i Ukraińców, a małą ilością Polaków nie był bezpiecznym azylem. Szawgier był na Komorzu w polskich oddziałach i nie wiedzieliśmy nic o nim, a on już zginął w pierwszych bojach. Siostra pracowała, bo gimnazjum z liceum pracowało "normalnie"-był cały domek dla naszej dyspozycji, byli Polacy zyczliwi siostrze, ale wszystko wrzało i niepewność jutra przerażała nad innymi nastrojami. U siostry mieszkała p. Grabowska koleżanka ze szkoły-polonistka, bo razem było im różnie, a nasza obecność sprawiała, że przyszłość nie wydawała się ponura.

I słuchałem komunikatów z walk i dyskutowaliśmy wszyscy w mieście i wierzyliśmy, że coś się zdarzy dobrego, a przynajmniej pocieszającego. Obawiano się tylko nacjonalistów ukraińskich, ale licząc, że ZSRR przyjdzie z pomocą nam Polakom i że na zachodzie rozpoczął się "walki" Siedziałem przy odbiorniku. Schwyciłem komunikat, że wojska sowieckie przekroczyły granicę polską, idąc z "pomocą braciom ukraińskim, białoruskim"! Czy idą jako przyjaciele?-zapewne tak, bo jest pakt o nieagresji, a więc... Niestety-To szły wrogie oddziały, by broczyć krewią Polsce zadać cios w plecy,.....

Wyszedłem do miasta. Nastrój wśród Polaków ponury, ciążą się młodzi nacjonałiści nie-Polacy! Wre! Organizuje się "narodowa milicja-daję i mnie opaskę niestoty z napisem w języku ukraińskim! Dobrze i to, że się wspólnie organizuje, by zabezpieczyć spokój w miasteczku, bo chuligani, bo nacjonałiści już grożą. Jeszcze trwa wysprzedaz w sklepach i kramikach, jeszcze ktoś urządzuje, właśnie pojawia się grupa uchodźców z Jasła. Dwa zakonicy, trzech nauczycieli, znajomi Piotra obdziela ich chlebem i jakimś posiłkiem ciepłym-Oni namawiają nas do powrotu, bo tutaj nie jest perne miejsce... a Sowici idą wolno i nie wiadomo co nas czeka. Nie decydujemy się na powrót. Po i jak? Pełnię obowiązki członka milicji obywatelskiej, nawet jest rewolwer szwagra, Brat i p. Gawrońska dokonują zakupów. Brat z Mańkiem O, idą na penetrację okolicy-idą do wioski osadników wojskowych zamieszkałych tutaj pod Horochowem od paktu ryskiego.

Inteligencja polska jest zgnębiona i przerażona. Po cichu, szeptem podaje się wiadomości radiowe. Oczekuje się przybycia do Horochowa wojsk sowieckich. Dwa nauczyciele liceum horochowskiego postanawiają opuścić miasto, bo ich zdaniem nie czeka nas tutaj nic dobrego, ani ciekawego. Najwięcej przerażeni są osadnicy, bo Ukraińcy obiecują im poigrać. Dlatego ważną rolę ma do spełnienia milicja, powstała teraz. Zawieszono naukę w gimnazjum i siostra z p. Gawrońską wychodzą razem na targowisko,

Bratu udało się zakupić wieprzka, miejscowy robotnik sprawił zakup i rozpalił ogromny ogień poza domem, potrzebny rzeźnikowi. Zabezpieczamy się na wypadek głodu, który z nadejściem bojców nam zagraza. Do Horochowa zjechał młody oficer polski i zapowiedział, że tuż pod miastem zorganizowany zostanie opór przeciw oddziałom czerwonym. Siostrę rozpacza, bo brak jej wieści o mężu.

Wchodzą czerwono-amięncy-Czołgi, a przy nich maszerują z karabinami i bagnotami źle się prezentujący żołnierze, z czerwoną gwiazdą na dość dziwnych czapkach. z lichymi płaszczami, niezaobrąbionymi u dołu, a karabiny na sznurkach. Żydóweczki rzucają kwiaty, nacjonałiści ukraińscy wykrzykują słowa powitania, ale w mieście nastrój przygnębienia. Oporu zbrojnego ^{nie} było, ale przybysze idą niepewni, patrzący z pode ~~oba~~ ^{oba}. My siedzimy zamknięci w domu, podobnie jak niemal wszyscy Polacy. Podobno ukazują się obwieszczenia najeźców, pełne zakazów i nakazów. Przejmują wszystkie obowiązki urzędowe ~~Ni~~ ^{Ni} ~~W~~ ^W ~~D~~ ^D ~~z~~ ^z ~~i~~ ⁱ ~~s~~ ^s ~~c~~ ^c ~~i~~ ⁱ. Niszczy się polskie orły, dewastuje park, rynek-nieład i trwoga-Jedynie chłopcy z gimnazjum

przynoszą siostrze wiadomości z miasta, Już wszędzie czerwone szmaty powia-
wają na gmachach państwowych i publicznych, wprowadza się nowe porządki, wywie-
transparenty, a gdzie tylko można transparenty z czwórka "twórców" nowego ładu:
Marks, Engels, Lenin i Stalin. Jeden z b. uczniów liceum, Ukrainiec rozbił sam
postument z polskim orłem i namawia do zajęcia się "polskimi panami"-robi to
widać w podziękę za stypendium szkolne i podkreślenia, że teraz tutaj będzie
"samostirna" Ukraina i na pochybel Polsce.

W pewnym momencie rozlega się kłopotanie do drzwi wejściowych i zjawia-
ją się dwaj bojcy, z miejscowym Żydkiem. Pierwsze pytanie o broń, o szwagra, dalej
o mieszkańcó^{ów} domku-to znaczy o nas, służącą, p. Gawrońską i trudno nam się po-
rozumieć, bo rozmowa towarzyszą pogrożki i przeszukiwanie domu. A potem wska-
zania co nam wolno, a czego nie wolno. Zapowiadają siostrze by wrócić do pracy
w "dziesięciolacie", do dyrektor nowy kompletuje grono nowej szkoły i ogłasza
powszechne nauczanie w dawnym gimnazjum, dla dzieci i młodzieży, która ukoń-
czyła sześć klas. Nie ma oczywiście egzaminów, ale są przyjęcia dla każdego kto
się ^{chce} uczyć, Gdy nazajutrz z siostrą i p. Gawrońską udaliśmy się do gmachu szkoły,
zobaczyliśmy jedynie sterty błota, odpadki i tłumy zgłaszających się do tej
szkoły.: dzieci żydowskich, oraz ukraińskich. Wzaski, przepychania, a wreszcie
spotykamy tego młodego Ukraińca, stypendystę gimnazjum, który ma być nauczycy-
lem w dziesięciolacie i ten, z tryumfem informuje nas, że teraz jest nowy ład.
sprawiedliwość i że nauka będzie dwurazowa, do stworzo, szereg oddziałów i kto
chce się uczyć, będzie się uczył, bo tak republiki sowieckie dbają o oświatę.
Nieliczna garstka polskich nauczycieli, których "zaproszono" do współpracy
w nowej szkole zakamuje ręce nad zniszczeniem gmachu, nad dezorientacją i
butą nowych władz. Jakiś konsomolec przybyły z głębi ZSSR-organizuje młodzie-
zowe koła i organizacje, ustala miejsca dla "czerwonych ugołków" i do siostry
mówi przez "towarzyszko", podając do wiadomości, że kto nie pracuje, ten jeść
nie powinien, Nad szkolnym pianinem znęcają się jacyś uczniowie, p. Grabowska
nie oddaje kluczy od biblioteki, mimo polecenia młodych działaczy, a wreszcie
nowy dyrektor Ukrainiec, który właśnie opuścił więzienie, poleca siostrze by
od zaraz pracowała, bo nauka już się zaczyna. Objaśnia, że językiem obowiązują-
cym w szkole będzie ukraiński, ale naraazie można będzie uczyć w j. polskim, dopóki
nie przeszkolą w języku ukraińskim polskich pracowników na kursie

W mieście nastroje były różne - od bardzo pesymistycznego wśród Polaków do radosnego wśród nacjonalistycznych Ukraińców - a Żydzi cieszyli się, że handel im idzie, bo przybysze z ZSSR osiedlający się w mieście kupowali wszystko. Nawet proste "ciuchy" wykupywali dla swych najbliższych przebywających w Związku. Często kupujący nie znali użyteczności kupowanych przedmiotów, ale kupowali, bo trzeba było zadokumentować "zwycięstwo oręża" rosyjskiego. Ale nastroje się zmieniały - samowola i despotyzm obnażały prawdziwe oblicze przybyszów, a propaganda też robiła swoje. Udmienianie na wszystkie przypadki łaskawości Stalina, potęgi ZSRR i wolności jaką obdarzano tubylców - wywierały skutek odwrotny. Do głosu dochodziły miejscowe szumowiny, pełne "wdzięczności" wyzwolicielom z pod jarzma panów polskich i nowe, a nieznane do tej pory "porządki" nie podobały się mieszkańcom Horochowa, a szczególnie mieszkańcom okolicznych wiosek. Do domu siostry dostarczała mleko Ukrainka z pobliskiej wioski i raz odbierając od niej mleko, powiedziałem do niej: "cieszy się, że zostaliście 'wyzwoleni'. ale przyjdzie czas, że będą Ukraińcy polscy płakać i żałować Polski" - ona krótko odpowiedziała: "już płaczą" /wzro płaczuć/. To mówiło tak wiele.

Kościół w godzinach otwarcia zawsze był przepełniony wiernymi, a ksiądz Puzerewicz / zdaje mi się, że tak się zwał / pocieszał nawiedzających świątynię i wspólnie śpiewano: "Może coś Polską", a niemal zawsze byli informatorzy NKWD w czasie modłów i ksiądz P. zapłacał za swą pociechę głową. Kościół był zamykany i pilnowany podwójnie, bo przez wiernych i przez obserwatorów, którzy byli na usługach sowieckich. Nasza mama stała chodziła do kościoła z p. Gawrońską i cieszyła się z postawy polskiej młodzieży i w ogóle ogółu wiernych. Cerkiewka też była pod "opieką" tych, którzy przynieśli "wolność".

Tymczasem pojawiły się pod sklepami z żywnością kolejki i słychać było narzekania na złe zaopatrzenie i butę bojców i innych oficerów miasta. Mój brat, najlepiej zorientował się w sytuacji i gdy tylko pojawił się towar codzienny w jakimś sklepie, samowolnie organizował "kolejki", pociągłoby i sam mógł coś kupić. Tak, że jakoś nasz "kołchoz" u siostry mieszkający, jak narazie bywał zaopatrzony. Ustaliliśmy wspólnie, że pracować dla potrzeb mieszkańców naszego domu będą siostra, p. Gawrońska i w razie potrzeby i ja - a Józia służyć postanowiła wracać do rodziny, a mama miała gotować dla wszystkich, zaś brat z kuzynem Marianem mieli być zaopatrzeniowcami. I jakoś utrzymywaliśmy się na fali.

Bardzo wielka zżyłość powstała między Polakami, którzy w tej dzielnicy domków urzędniczych mieszkali. Stała wymiana wiadomości, informacji i nawet pomoc gospodarcza. W ogóle postawa Polaków w mieście była dobra. Pewnego dnia przyszedł z siostrą do mieszkania przewodniczący komsomołu organizowanego w szkole. Był jakiś niepewny, przypatrywał się urządzeniom domowym, pytał, o rzeczy obojętne, o nasze potrzeby i "zarezerwował" jeden z naszych pokoi ~~na~~ na potrzeby komsomołu i pytał dlaczego nie pracuję. A potem prosił by mógł ze swym kumpem odwiedzić nas w czasie południowego posiłku, bo jak mówił ciekawi są jak polska rodzina je wspólnie obiad. I rzeczywiście w krótko przyszli dwaj młodzi ludzie do naszego domu na obserwację posiłku południowego. Siostra prosiła o udział w naszym obiedzie. Odpowiedz była odmowna i goście siedzieli na sofce, w czasie wnoszenia posiłku, jedzenia i wnoszenia talerzy. Nie powiedziałbym, że miło być aktorem dla widowni obserwującej nas i słuchającej rozmowy, chociażby to była widownia dwóch "towarzyszy", Nie był to koniec wizyt przewodniczącego komsomołu. Przyszedł do nas w nowo-uzitym garniturze..z welwetu i od tej pory przezywaliśmy go między sobą "welwetowcem". Jedno co było korzystne w tej znajomości, to był wolny pokój zarezerwowany przez działacza, a który przeznaczaliśmy na lekcje j. polskiego prowadzone przez p. Gawrońską dla uczniów Polaków nowo zorganizowanej dziesięciolatki. Krótko zostałem wezwany do budynku dawnego inspektoratu szkolnego na rozmowę z przedstawicielami władz szkolnych miejscowych, A w czasie spotkania musiałem opowiedzieć o swym wykształceniu, pracy w szkołach Jasła, przyczynie przybycia na Wołyń i wzajemnych stosunkach i dowiedziałem się, że powinienem pracować w nowo organizującej się szkole. Wobec jasnej zupełnie sugestji zgłosiłem się do dyrektora ukraińskiej średniej szkoły w Horochowie w gmachu dawnego polskiego gimnazjum, Dowiedziałem się, że mam uczyć matematyki w oddziałach j. ukraińskich równoległych i ukraińskich, ale otrzymałem też dwie starsze klasy polskie, Ponadto zostałem zapisany na kurs j. ukraińskiego dla nauczycieli nieumiejących języka obowiązującego w szkole, bym mógł uczyć we "właściwym" języku. Nauczali nas nauczycieli państwo Bałamutowie /tak się nazywali/, a na kurs chcieli kilka osób i między innymi też były wychowawcą gimnazjum horochowskiego liceum ten, który zniszczył polskiego orła i teraz miał uczyć wychowania fizycznego. Odrazu jego członkostwo i udział w kursie rozszyfrowane zostało należycie, a p. Bałamutowa prywatnie powiedziała, że popełniono błąd zmuszając nas do uczenia się ukraińskiego

bo j. urzędowym szkoły będzie rosyjski i do szkoły zostanie przysłany jako dyrektor Rosjanin z Moskwy, Zresztą p. Bażanutowie bardzo byli wyrozumiali dla nas Polaków i chwalili się tym, że za czasów państwa polskiego nie zaznali żadnych przykrości i uczyli w Horochowie za zgodą władz polskich. Bardzo nam współczuli i nieco później pomogli mi w sytuacji trudnej na "konferencji" w Łucku, w której musiałem uczestniczyć, a więc uczyłem się "bratniego" języka i zacząłem pracować w szkole. Pierwsze wejście w nowe dla mnie środowisko było straszne, szkoła, którą widziałem, odwiedzając siostrę, była nowoczesna, czysta, można powiedzieć elegancka, a teraz brud, zniszczenie dominowały, młodzież w znacznej przewadze nie polska - arogancka, butna, rozwrzeszczana, nauczyciele Polacy zmieszani do pracy byli załamani, nowi Ukraińcy i Żydzi nie grzeszyli kulkurą, patrzyli na nas z góry, z drwinkami podchodzili do nas, a p. Gawrońską zupełnie ignorowali. Z miejsca hospitował mnie dyrektor, który podejrzewam nie miał wspólnego z nauczaniem, i pochwalił mnie za należytą postawę i radził bym szybko nauczyć się ukraińskiego, bo w przeciwnym razie nie będę mógł uczyć. W klasach żydowskich odór czosnku, nie mytych ciał, skarpet cuchnących potem, był nie do zniesienia. W oddziałach ukraińskich wyczuwałem obserwację i oczekiwanie jak będę uczył, tym więcej, że wiadano iż uczyłem w krakowskim województwie i jestem "bieżeńcem". Natomiast przedstawiciel komitetu rodzicielskiego komunista żydek znany polskim władzom w Horochowie z swych przekonań i taki, który organizował "powitanie" wyzwolicielom, po wejściu oddziałów armii sowieckiej, ten człowiek poklepywał mnie dosłownie i słownie za "doceniania" mojej pracy, która jak mówił "nie będzie wredna i złośliwa". Nie mogłem pogodzić się z tym co mnie i szkołę spotkało i zdawało mi się że popełniam przestępstwo, a jedynie tercjar szkolny były żołnierz z kampanii 1920 r. cieszył się, że pracuję i że będę dbał o polskie dzieci. On stale pytał się o nowiny z teatru wojennego i modlił się tylko o szybką klęskę najeźców. Początek pracy był bardzo przykry i tylko obawa przed szykanami wobec mej rodziny i nadzieja pomyślnego zakończenia wojny oraz przyjaźń polskiej młodzieży dodawały mi siły w mej strętnej i groteskowej pracy oraz chęć służenia polskiej młodzieży. Bardzo męczyła mnie nonszalancja żydowskich i ukraińskich dziewcząt i nacjonalne natręctwo komitetu "rodzicielskiego", opieki komsomołu i tych słów, których nowa koalicja rzucała bez przerwy "towaryszu", ba nawet niekiedy i młodzież usiłowała mówić "towarysz nauczyciel".

A w mieście nowe władze, wprowadzały nowe porządki, Nowe twarze w urzędach, brud w "państwowych budynkach", na ulicach-ustawiczne podsłuchiwanie naszych rozmów i stąd stała obawa spotykających się ludzi, bo widoczne było przenoszenie do "władz" nawet niewinnych zwrotów, nie posiadających znaczenia. Dlatego wzyrano nas do różnych urzędów i zasypywano naiwnymi pytaniami. Raz niemal cały wieczór przesiadaliśmy z bratem w krzakach, pod budynkiem, przez którego okno widzieliśmy siostrę ~~Adana~~ przez umundurowanych NKWDzistów, Plotki znosił do domu Marian bo jako młody "podrywacz" niejednego się dowiadywał od swych sympatii.

Zjechała znowu wizytacja do szkoły-w gronie wizytujących byli przedstawiciele konsom^{su}, którzy też najwięcej mieli do powiedzenia i tak naiwnie, że myślałem iż to prowokacja. Nawet wizytowano nas na lekcji j. ukraińskiego, zorganizowanej dla nauczycieli. Przyszedł też nowy dyrektor w mundurze, a naszego Kozaka ~~Ukraińca~~ zamieniono na jakiegoś ekonomicznego zastępcę. Nowy dyrektor rozpoczął swą pracę od sfotografowania się przed budynkiem szkoły, a potem wszystkim pokazywał odbitki fotograficzne. Pokazał to też mnie i siostrze, które pochłaniała zdjęcie, a on na to w języku rosyjskim skromnie powiedział, że "ujdzie", co siostra niby nieświadomie przekręciła na "a idiot" i obawiałem się że ten człowiek obrazi się, ale on wziął to za pochlebstwo. Nastąpiły też zmiany w pracy. P. Gawrońskiej zapowiedziano likwidację nauczania j. polskiego, zapowiedziano konieczność uczenia w j. rosyjskim / p. Bałamutowa miała słusność, że to nie będzie szkoła ukraińska / co oburzało nauczycieli niektórych narodowości ukraińskiej. Nawet służba szkoły miała obowiązek mówienia w j. rosyjskim.

Do szła do nas wiadomość, że będą palone, niektóre książki biblioteki szkolnej i p. Gawrońska umówiła troje czy czworo uczniów, by usunąć z biblioteki bardziej wartościowe książki, a my oboje z siostrą mieliśmy w tym pomagać, ^m zadanie siostry było umówionego wieczoru pojsć do szkoły i zabawić rozmową dyrektora Russa, pani Gawrońska miała przez okno w bibliotece podawać uczniom i uczennicom ^m w dawać książki, ja z uczniami Charamzą i Jasińskima mieliśmy przewozić lub przenosić książki-a w domu p. Jasińskich uczennice miały książki umieszczać między drewnianymi ściankami jednego z pokoi i zabezpieczać je należycie. Omówiony plan przeprowadzaliśmy umiejtnie i w po kilku godzinach znaczna część książek została zabezpieczona dla młodzieży polskiej. Pracowaliśmy z ochotą i nikt nas nie nakrył. Nazajutrz bojcy przybyli do szkoły i pozostałe książki zostały spalone na dziedzi ^{cu}

dzińcu szkolnym,

Przeddzień rocznicy "wielkiej" październikowej rewolucji w szkole urządzono poranek uroczysty, na którym poza referatem dyrektora, popisowała się młodzież. Były deklamacje w j. ukraińskim, rosyjskim i na końcu polskim. Pamiętam jak młodzież przyjmowała obojętnie wiersze w rosyjskim, czy ukraińskim, z wybuchami śmiechu w j. żydowskim, ale gdy ucz. polska, uczęszczająca jeszcze w ub. roku szkolnym do horowskiego gimnazjum, a teraz też uczennica dziesięciolatki zadeklamowała wiersz: "Pani Twardowska", rozległy się brawa całej sali i próśby o drugą deklamację. Oczywiście nie było mowy, by zezwolono na drugą deklamację, ale te brawa świadczyły same o deklamacji polskiego wiersza. Nie podjęto też międzynarodówki, do przypuszczam większość pierwszy raz słyszała o takiej pieśni i o ile chodzi o Polaków, to i takby nie śpiewali. W kinie wyświetlano film rosyjski: "Rok 1920" - paszkwil na Polskę, na polskich żołnierzach, na Piłsudskiego, przeinaczenie historii i film ten budził niesmak nawet wśród wielbicieli nowego ustroju.

A dzień następny był przemarszem młodzieży wraz z instytucjami po mieście. Młodzież nudziła się tym przemarszem, hasłami, które najczęściej brzmiały "haj żywe...." i tutaj padały fakto Stalin, narodziła Ukraina, hasła pracy, nazwiska ludzi o których większość nie miała pojęcia, kto zaczął... i młodzież ta ukraińska czy jęwejska zorganizowały sobie zabawę jak np: -przechodząc około młyna prywatnego ktoś wrzeszczał: "haj żywe, ..młyn parowy lub coś w tym rodzaju, a młodzież nie polska darła się "haj żywe" i wtedy biegali niektórzy nauczyciele lub komsomolcy, by ukręcić tego rodzaju występy.

I zauważyłem że młodzież ukraińska niecierpi -młodzieży żydowskiej, tak jak wogóle Ukraińcy nie cierpieli Żydów. Stare porachunki, te/konomiczne rozgrywki, walka "Naszo-sojuza" z ze sklepami żydowskimi i niechęć tych dwóch nacji. A polscy osadnicy po swych wioskach tylko Polakom sprzedawali wszystko co mogli i starali się popierać grębią intęligencję. Zresztą już byli szukanowani w przeróżny sposób i wiedzieli że czeka ich los trudny.

A my nadal mieliśmy różne wizyty w domu, kontrole i wołano nas na "rozmowy" do różnych instytucji. Siostra zmartwiona była brakiem wiadomości o mężu, a pracować musiała tak jak i ja, a szczególnie po usunięciu ze szkoły P. Gawrońskiej. Zresztą ta pani zdecydowała się na wyjazd do matki do Włodzimie

Myśmy też myśleli o przedostaniu się do Jasła, ale z miejsca powstały nie-
 oczekiwane trudności, nawet z wysłaniem listu. I wtedy zjawił się w domu człowiek
 który był w szkole nauczycielem j. niemieckiego. Trudny do rozgryzienia, bo o
 nim właściwie nic nie wiedzieliśmy. Jednego dnia towarzyszył mi w drodze do
 domu ze szkoły. Zaczął mówić o wojnie, o napaści ZSSR na Polskę, o kłopotach
 jakie towarzyszą nam tu na terenie Horochowa. Myślałem, że to jakiś provokator,
 albo "wtyczka" ~~NKWD~~ - Nagle rzucił pytanie czy nie chcemy wracać do swego miasta
 albo wysłać listu do rodziny! Byłem niemal pewny, że to niebezpieczna dla mnie ro-
 zmowa. A on dalej mówi, że on może przekazać list do Jasła, bo ma pewne możliwo-
 ści. Opowiedziałem, że chciałbym to uczynić, ale możliwości nie mam. On oświadcza
 mi, że jeśli napiszę list, to o w następnym dniu może go przekazać na miejsce.
 Napisałem list prosto z zawiadomieniem do stryja i drugi do matki Mańka,
 co z nami. ^{się, druzi} Odebrał te listy i przy tej drugiej rozmowie, opowiedział mi, że w GG
 żyją Polacy normalnie, nie mają żadnych kłopotów, bo Niemcy są Europejczykami
 i tylko wprowadzają nowy ład, że wojna na Zachodzie się kończy, że nie dla nas
 jest miejsce tkwić w tym bardarzyńskim kraju, w tym brudzie i nędzy. Milczałem,
 on dodał nieoczekiwanie iż rozumie moje milczenie i szczerze nam pomoże.

/ Tutaj dodam, że oba listy w krótkim terminie doszły do adresatów, ale
 wtedy, nie o tym nie wiedziałem, /

Nasza vegetacja stała się trudną, tym więcej że zbliżyła się zima, a my-
 śmy nie mieli należytych ubrań, opału itp. Dyrektor był p. Łukasiewicz wyniósł
 się z Horochowa i to nie do Gruzji / bo podawał się za Gruzina - a nie był nim /,
 ale jak ludzie mówili do "GG", bo rzekomo żona jego była Niemką. Ten / rzekomy "provo-
 kator" potwierdził mi tę pogłoskę. Brat wyprawił się do Przemyśla po przepustkę
 wyjazdową poza San, ale wrócił z niczem - już takich przepustek nie wydawano, a
 wręcz odwrotnie wykapywano tych, którzy legalnie czy nie, starali się powrócić
 pod okupację niemiecką. Myśmy byli wyraźnie obserwowani, ^{o czym} siostrę ostrzeżono.
 Młodość polska dziesięć latki zliżyła się do nas a przede wszystkim wozny Adam

Spadek pierwszy śnieg i pewnego dnia uczeń Charamza poprosił mnie bym się
 spotkał z jego siostrą. Znowu zaskoczenie, ale na spotkanie poszedłem. Młoda dzie-
 czyna za polskich czasów studentka, teraz przeprosiła mnie, że prosiła o spot-
 kanie i gdy udaliśmy się zaśnieżone pole poza miasto, wyjawiała o co chodzi. Na
 Wołyniu jest komórka organizacyjna "Polski walczącej" mająca cel patriotyczny

ona jest łączniczką, przybywa z Łucka gdzie rzekomo pracuje i ma polecenie nawiązania kontaktu ze mną. Ośrodek Łucki chce mieć swą komórkę organizacyjną w Horochowie i ja zostałem upatrzony na przyszłego organizatora oporu na to miasto. Powiedziała mi o systemie działania dziesiątkowym, o hasła itp i zakładałabym postępować tak jak tego organizacja chce, że będzie przywoziła mi polecenia z Łucka, a ja winienem zorganizować dziesiątkę na miejscu, z należytą ostrożnością, umiejętnie-dalej podała mi hasło i mój pseudonim organizacyjny, a dla kontaktów - zebym tylko posługiwał się pseudonimami, tak żeby przyszli członkowie komórki nawet ^{nie} nie znali i tylko ze mną byli w kontakcie, jak i innymi ~~z~~werbawanymi członkami. Dziewczyna dużo mi opowiedziała i zapaliłem się do tej pracy. Zacząłem od tej pory angażować inne osoby. Zresztą dostałem broszurkę i umówiliśmy następne spotkanie. Pewnego dnia przedstawiciel komitetu rodzicielskiego szkoły, zapytał mnie czy ja i ze jest pe ny / osiedle się tutaj na stałe, bo on widział, że mam miłą sympatię, To nie dziwiło mnie, ale przeryziło mnie co innego. Syn miejscowego notariusza, pewnego dnia prosił mnie bym i o nim pomyślał i podał mi moje pseudo! Byłem przerażony, bo jeśli on coś wie, to i inni mogli wiedzieć, a stąd krok tylko do sypnięcia. Skąd on wiedział o powstaniu komórki organizacyjnej nie wiem, sam wobec niego się zdziwiłem i wyjaśniłem, że nie wiem o co chodzi..ale przypuszczam, że mi nie wierzył. Teraz naprawdę musiałem być ostrożny i starałem się postępować lepiej.

A tymczasem zima naprawdę przyszła. W szkole wytypowano mnie z państwem Bałamutami na konferencję "dydaktyczno-wychowawczą" do Łucka. Musiałem tam pojechać i brać udział w tym zebraniu. Pocieszała mnie p. B. że warunki tam będą przykre, że będą to nudy i ~~ja~~ zobaczyłem jeszcze gorsze warunki niż te, które mi opisywano, Noclegi zbiorowe w pokoikach wymoszczonych sianem, z przeznaczeniem na kilkanaście osób, wody brak, posiłki jak się okazało: kasza, kapusta, jakaś ryba no i herbata bez cukru, a rano i wieczór chleb z ~~herbatą~~ ^{herbatą}. Sala wykładowa w jakiejś ^{ko}szle, zatłoczona, smród. Państwo Bałamutowie mający krewnych w Łucku i znający miast z czasów polskich kiwali z pogardą głowani. ~~W~~ ^W następnym po przyjeździe zabrali mnie z sobą i zaferowali w normalnym mieszkaniu sofy bym nie cierpieć od zaduchu, pcheł czy pluskiew [?] można było na małej miedniczce umyć się i jakoś spać nie w ubraniu, co w wyznaczonym dla nauczycieli pomieszczeniu nie było możliwe. Byłem im wdzięczny i widać, oni do jakiejś kultury byli

przyczajeni i poczuli się do koleżeństwa normalnego. Na kursie panował język ukraiński oraz żydowski, ale było i kilkoro Polaków, bardzo zgnębionych. Pierwszy prelegent zaczął od słów: "ludyna ludynie wołkom"... i na ten temat rzucał sloganami, hasłami i udowadniał jak to źle było w Polsce! A słuchacze albo drzemali, albo rozmawiali prawie głośno. I tak szły "wykłady" jakieś bzdurzenia głoszone dla samego gadania, a kłaskano gdy potępiano brak wolności w Polsce nie liczenie się z młodzieżą itp. Pomijając to, że ja mało rozumiałem bo wszystko było w j. rosyjskim, ukraińskim a nawet żydowskim, to jeszcze nie wiedziałem o co w ogóle prelegentom chodziło, a na trzeci dzień nastąpiło podsumowanie, uchwalono jakieś wnioski i adresy do Stalina i innych "ważnych" osobistości, o których nigdy nie słyszałem, ale sloganów tośmy mogli pochryścić tysiącami i teraz dopiero dowiedziałem jakie szczęście mnie spotkało. Oczywiście były przemówienia różnych młodzieżowców, konsomolców i politruków, a czy coś ktoś wyniósł z "konferencji" to nie było ważne. Meczyłem się nieprawdopodobnie i tylko marzyłem o tym by się znaleźć w Horochowie,

Wiadomości polityczne podano także i dowiedziałem się że wojna już jest na ukończeniu, że przyjaźń germańsko-rosyjska jest podstawą nowego ładu itp. A jak opłwano Polskę i czasy okupacji polskiej na Białorusi i Ukrainie, na Litwie to był horror zorganizowany przez panów! Fałsz, za fałszem, pochlebstwa, wiernopoddańcze deklaracje i stałe piosenki o sławnej pracy Lenina i Stalina cytowane bez przerwy. P. Bałamut nawet nie próbował tłumaczyć mi celu konferencji. Jednego wieczoru podszedł do mnie Polak wypowiadając hasło organizacji podziemnej i przekazał parę poleceń. Nie wiem jak mnie znaleziono, ale dziwnie mnie pocieszyła ta kilku minutowa rozmowa.

A w Horochowie było źle. Kościół stałe zamknięty, jeden człowiek obawiał się drugiego, brak podstawowych artykułów, makiety drewniane na wystawach i tego przerażający upodlenia!

Postanowiliśmy jak najszybciej przedostać się poza Bug legalnie czy nielegalnie, by uciec z tego "raju", bałaganu, poniewierania godności ludzkiej. Osadników zaczęto wywozić na wschód do ZBSR - szykanowano wszystkich i tylko wszechładne było NKWD, teraz zaczynałem rozumieć w czyje te ziemie ręce wpadły! Jak wiele nieszczęść jeszcze czeka nie tylko Polaków tutaj stałe czy czasowo zamieszkałych i jak wielkie zmiany powstały tutaj ziemi dawniej mlekiem płynącej!

Arestowanie i więzienie.

Zima zapowiadała się ciężka, masy opadów śniegu, zaspasy, temperatury bardzo niskie, a my bez ubrań ciepłych, a dookoła nas dzieją się trudne sprawy - Arestowanie Polaków, wywożenie w głąb Rosji osadników - oddzielanie dzieci od rodziców, przesłuchiwanie i wmarianie w nas czynów niepopelnionych, to w pytaniu o pochodzenie, miejsce zamieszkania, karancie pieniądze - a jednocześnie pogłoski i ustamiczne szarpanie nerwów. W końcu decyzja zapadła. Z pomocą innych wyjeżdżamy do Brzeźcia nad Bugiem w czwórkę /siostra związała się z rodziną notariusza Krauzego i ma z nią uciekać do Lwowa i dalej?/ Jakieś tłumoczki bez wartościowe. Mam biore płaszcz szwagra i jego czapkę narciarską - dla matki trochę kobiecego przyodziewku, brat też korzysta z rzeczy szwagra nieobecnego i dla Mańka też coś przyszykowaliśmy. Saniami na stację kolejową. Sanie chłopskie wywracają nam się w drodze i tkwimy w zaspach, tak, że spażniamy się do jednego pociągu nocnego w kierunku Brzeźcia. Wracamy. Dzień rozpoczął się od najazdu na dom NKWD i żydowstwa sprzyjającego Nowym Władzom. Jest pełna konsternacja, bo ekipa sprawdzająca wiedziała, że myśmy uciekli z Harochowa, a tymczasem zastali nas w domu mieliśmy iść do szkoły. Zapieniony zydek, przekonany że ma wiadomość pewną o naszej ucieczce, jest wyraźnie niepewny. A za dwa dni wyjeżdżamy ponownie na stację i pociągiem wyjeżdżamy do Brzeźcia, mając adres człowieka, który miał dokonać przerzutu za Bug,

W przeddzień próby przedostania się do GG - mieszczymy na strychu/niaby ukrycie/-podają nam tam posiłki, ale nie bardzo wydają mi się ci ludzie pewni, a już przewodnik nasz przez Bug wcale mi się nie podoba. Przychodzi po nas po godz. 10 wieczór i dołączamy do grupy, takich jak i my ludzi, którzy pragną opuścić okupowaną część Polski i przejść na drugą stronę. Są panie i dwóch panów. Brniemy w zaspach śniegu - jest ciemno - mój brat podtrzymuje mamę pod ramię, ja rozmawiam z towarzyszącymi osobami. Każdy już wpłacił za przeprowadzenie przewodnikami, każdy jest najlepszej myśli, Nie widzę rzeki, a już podobno do niej dochodzimy. Nagle zdaje mi się, że jest nas więcej, a nawet są psy! Nie to nie jest halucynacją. Otaczają nas żołnierze sowieccy z psami. Wsypa a może... Nie chcę źle mówić. Przewodnik przysuwa się do nas i mówi, że "wpadliśmy"? ale nie radzi się tym przejmować i tylko powiedzieć, że idziemy z GG do ZSSR.

Bojcy pokrzykują na nas: Pa^u bystrej!, psy warczą i w tej ciemnicy brniemy nadal z trudem. Jedna z kobiet młoda damulka popłakuje, Starszy człowiek z tej naszej grupy wymyśla przewodnikowi, że nas źle prowadził-on znowu swoje, aby się nie przyznawać, że chcieliśmy uciekać na stronę niemiecką, ^u wtedy oni nas skierują z powrotem do GG. Nie wiem czy słuszna jest logika tego co on nam zaleca, ale co my wiemy. Jest źle i to wszystko-wreszcie wprowadzają nas w jasno oświetlony budynek-więzienie! Stłoczono nas w dwóch pomieszczeniach, przyczym mnie odłączają od rodziny. Rozmawiam z bratem przez dziurkę od klucza. Mówi, że bojęć oznajmik im, że czeka nas 2 tygodnie siedzenia w tym więzieniu za nielegalną ucieczkę.

A tutaj ze mną jest przewodnik-widzę, że udaje wielce zmartwionego, ale coś mówi z żołnierzem i ten go prowadzi do "kancelarii". Po pewnym czasie wraca do nas, a ja zostaję wezwany i staję przed stołem, za którym siedzą dwaj czy trzej żołnierze sowieccy i dwóch cywili. Coś nie coś rozumiem co mówią. Najpierw dane osobiste, potem powód ucieczki z kraju. Mówię, że przybywam z X za Bugu. Po chęć i raz po raz rzucają słowa: "wriosz" i pytają o Połtowicza, o szwagra i tak dalej. Wiedzą wszystko-gdzie byliśmy, drwią sobie, że mnie i palą, obskurny tyton, ślinią ołówki i notują moje zeznanie. Wreszcie jeden strełok odpowiada coś na rozkaz i prowadzi mnie do tego pomieszczenia gdzie jest reszta rodziny i niemal wszyscy w których grupie byliśmy podczas nieudanego przejścia. Brak tylko przewodnika-on nas wprowadził w łapy sowieckie. Potem zeznają imi z mojej rodziny i powiedziałem, że o nas wszystko ^{gdz} wiedzą, zeznają jak należy. Nad rankiem prowadzą nas do cel więziennych: mamę z innymi kobietami na parter ^z tylko proszę panią z Warszawy, by czuwała nad naszą mamą, nim nas skierowali na górę. Wchodzimy do celi, która była kapliczką tego więzienia za polskich czasów. Jest zatłoczona, ^m wśród-niektórzy bez koszul, bo właśnie odczyszają bieliznę od... wszę! Krótkie pytania pod naszym adresem: co za jedni, skąd i radzą by przeczyścić koszule! Zajmujemy miejsca na posadzce -Ale miejsca są obok, jak mówią "paraszy" to jest wysokiego naczynia na odchody, Oczywiście ^{my} wśród straszliwy, lecz my układamy się na ziemi bardzo zmęczeni i wtedy Hehu-brat, mój stwierdza, że ma rzeczy mamy z sobą, że ona nawet nie ma na czym głowy położyć, więc pukamy w drzwi celi i gdy wreszcie otwiera strełok salę, prosimy o podanie rzeczy mamy. On klnie, wymyśla i zakazuje wywoływania go, bo wysłał nas do sztrafnej sali i zatrzymuje drzwi-Zrozumieliśmy tylko sztrafna celi i to wszystko-

Sytuacja trudna. Wnoszą posiłek poranny-Gorąca woda tzw. "kipiatok" i lromkba czarnego chleba. Nie możemy jeść, ale jeden ze współwięźniów zachęca nas do jedzenia, a drugi mówi, że jeśli nie możemy jeść to on chętnie weźmie od nas nasze porcje. Podnosi się wrzask i wpada strzałok, nie żeby nas uspokoić, ale by przygotować się do "ubornej"/objaśniono nas, że idziemy na stronę, aby się zakatwić/Taki był początek naszej doli więziennej.

Odór przepoconych ciał i nie mytych, wymyślenia i przekleństwa, odór z "paraszy"-beczki do załatwiania się, bicie wszy i narzekania to było najgorsze w tej celi, w której leżeliśmy na betonie i od czasu do czasu był ktoś wywoływany do "kancelarii", gdzie stawiano nam głupio-naïwne pytania i starano się byśmy znienawidzili nasz los, życie i tych ludzi, którzy nas gnębili Urozmaicaniem były trzy razy w dniu podawane posiłki, bo coś się działo i ten wymarsz do "ustępu" na dziedzińcu, zwykłego rowu, gdzie należało się zakatwić.

Pewnego dnia gdy myśliły byli wyprowadzani, właśnie wracała grupa kobiet do swojej celi. Zobaczyłem moją matkę w szeregu więzionych kobiet. Nie namyślając się nad tym co cznie wpadłem między kobiety, z nimi, w ich tłumie zostałem wprowadzony do celi matki. Mama była przerażona-wiadomo, że za naruszenie regulaminu, za samowolę i wtargnięcie do celi obcej, groziła mi izotatka w małej ciemnej salce, z wodą na posadzce i skupkde, do siedzenia, skazany na post i zimno, na dręczenie przez bojca więzień nie wiedział czy czas idzie naprzód nikt nie podawał do jedzenia poza wodą, nie było można wychodzić nawet do "ubornej", to była kara za przewinienie./Dlatego mama była przerażona, ale kobiety założyły mi chusteczkę na głowę, okryły damskimi łachami i ułożyły na posadzce między sobą. Dowiedziałem się, że moja matka, znosi dobrze pobyt w celi, że lubią ją współwięzienne koleżanki, że one same urządzają się tak, aby czas mijał, opowiadając sobie o najbliższych, życiu przed nadejściem wrogów na Polskę-jedna z pań była śpiewaczką, inna nauczycielką i zaopiekowały się matką nawet miała jakieś okrycie. Ja opowiadałem o życiu w dawnej kaplicy zamienionej na celę i jakże są nadzieje na wyjście poza mury. W międzyczasie raz i drugi ktoś zaglądał do celi, bo ktoś zauważył, że z innego szeregu więzień wyskoczył. Teraz był problem wydostania się z celi i powrotu na górę do naszej celi. Ściemniało się i ustawiono kosiółkę z sapą, w której pływały ziarenka kaszy. i Drzwi były uchylone i ktoś odwołał dyżurnego żołnierza-wtedy ja wypadłem z cel

Na szczęście ^{nie} był ruch na korytarzu, jak to zwykle przy wydawaniu strawy- i albo nie zauwazo mnie, a jeśli tak to któraś z uwięzionych obsługującej^{ca} wydawanie posiłku nie zgłosiła. Udając ból żołądka i zwiijając się z "tego bólu" poszedłem w kierunku naszej celi, Złapał mnie dozorca w munturze i wypytywał kto jestem i co robię tutaj. "Bolnoji[!]-powiedziałem-i ukazałem na dół., a potem podałem numer mojej celi. Dość głupawy był strażnik, skoro tylko otworzył drzwi celi i klnąc wpuścił do środka. A brat mój zrospaczony i przerażony tylko słu-chał co mówiłem o matce i prosił bym więcej nigdy nie robił "takich numerów". A za chwilę wniesiono kocioł z zupką, tą straszną, niby zupę z nie ugotowaną kaszą, której sam widok odbierał chęć jedzenia.

Po jedzenie było podłe, skromne ilościowo i powodujące niestrawności, bóle i kolikę na "paraszę. Co jednak było robić-coś się jeść musiało.

Po tym zdarzeniu wywołano nas kilku z "wieszczami"/brat i kuzynek byli też ze mną wyprowadzeni/ i przeniesiono nas do innej celi, która podobno służyła w Polsce 6 więźniom, a tutaj stłoczono nas około 30 osób. Była tutaj zbita desek jakby skrzynia na której leżeliśmy nocno ściśnięci, czy przytulędo siebie. Ja leżałem blisko okna, brat obok, a potem Maniek. W sali nie było szumowin, nawet jakiś inżynier kolejowy z Brześcia, kolejarz z Rzeszowa i niemał wszyscy pozostali pół-inteligenci. Rozmowy jakie z miejsca rozpoczęliśmy przed-³stawiały jakiś inny obraz niż w poprzedniej celi, ale długo tutaj nie zagrza-³liśmy miejsca. Nowe nocne badanie, nowe straszenie nas, zakazy, ale też mieliśmy jakieś łyżki drewniane, który^{mi} przez stukanie w ścianę usiłowaliśmy porozumieć się z sąsiadami, co ^{ale} "białej gorączki" rozpalało dozorców, przeklinających plu-gawo. I tutaj znowu przeżyłem przygodę.

Pewnego poranka zostałem wywołany przez żołnierza, ale bez "wieszcy" /swoich łaszków/ i w paradzie, otoczony przez 4 strażników, z bagnatami na kara-binach prowadzony byłem przez ulice Brześcia po błocie z śniegiem, A przechodnie z politowaniem kiwali głowami. I tak w "paradzie" dotarłem do czerwonego gmachu, który był jak się dowiedziałem później, więzieniem polskim, nazywanym "Czerwoniakiem". Prowadzono mnie do pokoju, gdzie za stołem siedzia^{ły} trzech umundurowanych NKWDzistów-teczka przedⁿⁱmi a za mną z rewolwerem bojowy. I znow^u beznadziejne pytania-kto jestem, o szwagra, poco chciałem iść do "GG". I grozenie mi rewolwerem, nawet pobijanie jego rączką mnie po boku, przeklinania i groźby.

Byłem głodny, spragniony, pragnąłem iść na stronę /nie wiedziałem o co chodzi. Reszcie gdy zaczęło szarzyć wyprowadzono mnie z "zerwoniaka" i znowu marsz przez ulice, pod bronią wobec przestępcy, by wrócić do celi, gdzie czekali mnie współwięźniowie z bratem. Opowiedziałem wszystko-słuchano mnie z niedowierzaniem, do myślano, że byłem "wtyczką" sowiecką w tej celi. Na szczęście starszy inżynier i kolejarz z Rzeszwa, wzięli mnie w obronę przed natarczywymi pyzaniem współwięźniów. A za dwa dni wyszliśmy całą celą znanymi mi ulicami do tego więzienia, w którym mnie badano. Po kilka osób dołączano nas do cel już natłoczonych w tym więzieniu. Na szczęście byłem nadal z bratem, kolejarzem z Rzeszwa i inżynierem z Brześcia. A potem były ustawiczne przesurania jednej celi do drugiej i wszędzie to samo: nędza, niedola, przekleństwa, odór i "parasze", ale nieco inne warunki, albo myśmy już przywykli do warunków. /jednej z cel w piwnicy byliśmy tak stłoczeni, że na komendę przewracaliśmy się z boku na bok, a dotrzeć do "paraszy" można było, przeskakując leżących na posadzce i mowy nie było by na stronę można wyjść. Tu spotykało nas raz na trzy dni upokarzające ponizanie godności. Gdy kolejka przychodziła na naszą celę, musieliśmy pod "opieką" naszego dozorcę zabierać "parasze" po kolei z innych cel naszego poziomu i tak idąc dwójkami nieśliśmy "parasze" i taki pochód szedł do "ubornej" na piętro, a dozorcę i bojcy zarykiwali się ze śmiechu i pokrzykiwali: "ot wam procesja-pany!" Potem mycie tych naczyń koniecznej użyteczności i powrót do celi po zwrocie innym ich mebla jedynego w celi. Żeby nie zdurnieć całkowicie, z lekarzem Żydem też więźniem, zaproponowaliśmy pogawędki "naukowe". Pierwszy zaczął ja, opowiadając o ciekawych zdarzeniach astronomicznych, potem mówił wspomniany lekarz ciekawostki swej praktyki, potem jeden inżynier mówił o szkolnych wyczynach jego klasy i znowu ja podawałem streszczenia powieści polskich historycznych, a pozostali współwięźniowie podrzucali tematy.

Z tej celi wyprowadzono nas na "rozprawę" w nocy i przydzielenie wyroku /srok/-Zresztą wszystkie badania odbywały się zawsze w nocy, a wywołanie nie odbywało niemal tak samo. /chodził do celi strażnik i dukał z kartki nazwiska i aby być dowcipny zaczynał: "Tępier na bukwu S." potem śmiał się głupio i wymieniał nazwisko na inną literę i oczekiwał by więźniowie, cieszyli się jego "dowcipem" i tak było zawsze.

Otóż tej nocy o której chcę mówić, kazano wyjść wszystkim, ale bez "wieszczę"

Przed kancelarią na pierwszym pięttrze, ustawiono nas ^z dkuż ściany, zwróconych oczyma do ściany. Nastąpiło przemówienie, w którym zaznaczono, że chwila jest dla nas bardzo ważna i jeszcze jakieś słowa o elementach socjalno-opasnych, które należało "wybrościć", ale prawo sowieckie da nam możliwość poprawy z win naszych i otrzymamy sprawiedliwe wyroki. Pamiętam, że pierwszego wywołano do "kancelarii" mojego brata. Czekałem w napięciu na jego powrót i za parę minut wyszedł i śmiejąc się głośno powiedział: "zasądzi mi na pięć lat, ale nie powiedzieli za co" - Pięć lat - łagieru, przymusowych katóżniczych robót! Potem byli wzywani i inni. Każdy wychodził przybity i mówił krótko: trzy lata, lub osiem lat lub pięć, Zostałem wreszcie i ja wzywany: "nazwisko, imię, oczestwo" a potem formułka o winie i sprawiedliwej karze! Usłyszałem wyrok: Osiem lat ^{ce} israwilnego łagiera! I to było sądzenie! Nie było ani rozprawy, ani zarzutów! Mieliśmy być katożnikami w łagierach.

Nie wróciliśmy do swaj celi. Rozdzielono nas po celach ^{imi} zasądzonych więźniów i ogłoszono obowiązki i przywileje. Przysługiwała nam nazwa "zakluczonyj", mieliśmy prawo do "spaceru" /proguż/, wolno było pisać listy do rodziny i otrzymywać paczki. A w praktyce ^{le} przywilej pierwszy wyglądał mniej więcej tak: wychodziliśmy do ustępów, potem mycie w korytku obok ustępu i wymarsz na podwórko więzienne, między mury rozpoczętej budowli z przed wojny/ i tam jeden za drugim, z rękoma do tyłu, krążyliśmy między murami. Trwało to kilka minut i zależało od dozorców. W tym czasie, dokonywano przeglądu celi-naszych łaszków, zabieranie tego, co stanowiło chociażby najmniejszej wartości, lustrację czystości celi, "paraszy" i wtedy wchodziliśmy z powrotem do celi. Było nas dwudziestu a cela przeznaczona była na 6 osób. Posiłki nadal były beznadziejne. Jednego wieczoru wniesiono gotowane w łupinach ziemniaki, tak jak to przygotowywano w Polsce dla świnek, Podawano nam po dwie sztuki. Wtedy to mój brat skoczył do bojca krzycząc: "co ty nam dajesz? czy my jesteśmy świnię?! - a bojec uskoczył w kierunku drzwi i tylko zatrzaśnięcie ^{świadłość} drzwi, że był ktoś prócz ^{nas} w celi.

Jednego dnia, a raczej nocy wywołano jednego z "zakluczonych" - a gdy wrócił z triumfem pokazał miejscową gazetę, którą wyłowił z kosza na korytarzu, żebyśmy dowiedzieli się co się w świecie dzieje. Tego robić nie wolno było, a pozatym nikt nie umiał czytać cyrylicy. Mój brat przypomniał mi, że chodziłem na kurs języka ukraińskiego i powinienem przeczytać coś z tej gazety

Spróbowałem "dukania": "Anglo-germańska wojna" /a moza "borba"-gazeta była wydawana w j. biało-ruskim. "Czytając dalej" dowiedziałem się, że wojna toczy się tylko Niemcami i Anglią, że Francja skapitulowała, że należy się spodziewać zwycięstwa Niemców! Myśliśmy jak porażeni: Francja skapitulowała, a jedyny sojusznik Polski to Anglia i ten tryumf niemiecki obozwał nad nas. Tak więc będę musiał albo odsiedzieć 8 lat, albo zemrzeć i nigdy ani Polski, ani swych bliskich na zobaczenie. Cios straszliwy!

W jednej z cel zjawił się opiekun "oświatowy" i zachęcał do czytania książek z więziennej biblioteki. Zgłosiłem prośbę o jakąkolwiek książkę i jeszcze jednę współwięźniów. Na drugi dzień wszedł bojce i ogłosił, że doręczył mi i temu drugiemu książki. Zględam do książki i oczami własnymi nie wierzę. Jest to bowiem książka w żargonie żydowski "Jidisz" i nawet współwięźniowie żydzi nie chcą jej czytać, bo to podobno był jakiś paszkwil przeciw religii! I tak się skończyło czytanie!

I wreszcie przyszedł dzień wyjazdu na daleką Północ do Komi ASSR! Byłem bardzo chory: to skorbut mnie zjadał. Nie mogłem chodzić, wylewy pod skórą na stopach, wrzody, nabrzmiałe gruczoły nie mały szędzie, a szczególnie pod pachami. A tu wyjazd. Za wszelką cenę chciałem się z bratem nie rozłączać, więc przy jego pomocy dotarłem do izby na naszym poziomie, gdzie mieliśmy być ostrzyżeni, ogoleni i umyć przed odjazdem. Było kilku cywilów żydów ponoć fryzjerów z nożycami i kawałkami szkła dla golenia. Usiadłem na taborecie i jeden z "fryzjerów" szybko ścinał mi włosy nożyczkami, namydlił twarz i zerknął na mnie ogolić zacinając parokrotnie. Zeiszonym głosem wypytywałem go o wojnę o życie pod okupacją sowiecką i czy coś wie o naszym transporcie. Trafiłem dobrze, bo ten golarz odpowiedział mi szeptem, spoglądając na bojców siedzących blisko drzwi i nas pilnujących. Życie było ciężkie w kraju-wszyscy żałowali polskich czasów-trudno nawet o chleb, ale mety ludzkie potrafiły się urządzić. Ludność polską, głównie osadników wywożono w głąb Rosji, rozdzielano rodziny-wiele ludzi ginęło z głodu i chorób, a wiele dzieci pomazniętych w wagonach wyrzucano prosto za tory kolejowe. Wojna się toczy, bo Anglicy nie ustępują, jest polskie wojsko pod gen Sikorskim, które wywiózł do W. Brytani z Francji. Cały szereg krajów Niemcy okupują, ale nikt nie wierzy, żeby Niemcy wojnę przegrały. Ten człowiek dał mi kawałek suchego chleba. Spotkała mnie wielka zyczliwość

Wagony-poprawcze - obozy karne!

Jakoś przy pomocy brata, kuzyna i innych więźniów dowlokłem się z całą olbrzymią kolumną do wagonów podstawionych poza stacją i tu załadowano nas po "obisku" na ugorze do towarowych wagonów, zamienionych na "więziarki" z dwoma poziomami do leżenia po obu stronach wagonu. Każda wagonowa miała swego opiekuna bojca z NKWD i ci nas wyczytywali, obszukiwali znowu układali albo na podłodze na garstce słomy, albo na górnej półce tuż na wysokości zakratowanego okienka. Brat ułożył mnie tuż obok okienka, bym miał trochę powietrza i leżał obok mnie. Wniesiono "paraszę", wiadra z wodą i przydzielono prowiant na każdego: kilka czasnych suchrków, melańskie rybki tzw. "kilkę" i po pułeczku od ~~paraszy~~ ^{zupki} cukru żółtego. Miało nam to wystarczyć na 24 godziny. wreszcie zatrzaśnięto drzwi, słychać było z zewnątrz przekleństwa w j. rosyjskim gwizd i głośnym wyciem syreny na lokomotywie, pociąg ruszył! Nastrój w wagonie był fatalny, Nieotróży zjedli to co nam wyznaczono na dobę z miejsca, i potem pokładli się lub stanęli w koojce na paraszę - a mnie brat - dobry kochany brat starał się pocieszyć, że przecież będziemy na powietrzu, więc wrócę do zdrowia.

Jechaliśmy na Północ przez 8 lub 9 dni. Czasem słyszeliśmy syreny lokomotyw pociągów przez stacyjki, na których nasz pociąg zatrzymywał się by przepuścić pociągi normalnie przebywające naszą trasę, Czasem obserwowałem przez okienko mijane opustoszałe pola, jakieś zagajniki, to na stacyjkach w walonkach i chustach, z tobołkami podróżnych - wszędzie nadsza i szarżyzna. Wreszcie dotarliśmy do rozbitego szlabanu granicznego malowanego w biało-czerwone pasy i budkę straszną z białym orłem walającym się na ziemi. Podniósł się wielki krzyk! to we wszystkich wagonach - niektórzy płakali, inni zaczęli śpiewać polskie pieśni bojowe i "nie rzucim ziemi"! A potem jechaliśmy przez tereny znane z historii czy powieści, dawne polskie tereny: Orsza, Smoleńsk i t. Orszy pociąg stał dwie doby. Na niektórych stacyjach podczas postoju podawano nam posiłki i wodę, więźniowie musieli wynosić "paraszę", żołnierze stukali młotami po kołach podwoziach, badając czy nie wyłostał się ktoś z wagonu przez deski podłogi lub w inny sposób. Orszy został jakiś więzień postrzelony i podobno wzięto go, celem amputacji ręki. Przy wynoszeniu wiader, czy kubła spotykali się więźniowie z różnych wagonów i podawano sobie wiadomości zaskysane, usiłowali rozmawiać z podróżnymi na tacykach, ale gdy ktoś z tych ruskich podróżnych usiłował

coś przekazać lub powiedzieć, natychmiast interweniowali bojcy i pędzili ludzi. Mimo, że było lato, padał śnieg, gdy dojeżdżaliśmy do Kotłasu. Chociaż to było duże miasto, nie odebraliśmy tego w ten sposób. Umieszczono bowiem nasz pociąg na jakiejś bocznicy i zaczął się wyładunek ludzi skąbych i chorych. Byłem naprawdę w złym stanie. Jeszcze dnia uprzedniego brat zniósł mnie z górnej nary do kubła, oddawał mi swój przydział cukru, a ja widziałem jego poświęcenie i starałem się by zjadał moją porcję rybek, które więźniowie zjadali z oczyma i wnętrzościami. ^{widzieli} widzieli, że brat ^{przenosił} przenosił takich rybich porcji. ^{oraz momentami pokrzykiwał} ogólnie wszyscy byli głodni i z ulgą przyjęli wiadomość, że jesteśmy w punkcie rozdzielczym. Wyładunek naszego wagonu odbył się sprawnie i jako pierwsi całą grupą podeszliśmy do komisarzy nas przyjmujących. Znowu "obiad" przetrzymanie naszych misernych rzeczy, gdy mnie ^{pod} prowadzano pod rękę do NKWDzisty prowadzącego przejmowanie "zakluczonych" - ten popatrzył na mnie i krótko powiedział "podejmię" - dosadnie, ale ^{przekiwał} przekiwał mi kieszonki spodni i znalazł różaniec, który mi przyniósł z Rzymu jaśielaki Franciszkanin. Popatrzył na ^{mnę} dziwnie i zapytał: "modlisz się" - odpowiedziałem krótko: "da". I o dziwo oddał mi różaniec, co nawet inni prowadzący przejmowanie przyjęli ze zdziwieniem ^{moje wyjęcie}. Zauważyłem, że zastanawiano się co ze mną zrobić i wreszcie kazano bratu mojemu i drugiemu ^{aby} mnie ostawili do baraku dla dochodzących. Obóz był bardzo duży. Pociąty drutami kolczastymi na części. Poza zasięgami było kilkanaście obserwacyjnych na których stali bojcy z karabinami, a ^w poszczególnych sektorach kręcili się łagiernicy i żołnierze. Sektor, do którego mnie wniesiono był przy obrzeżu i barak stał tuż obok drutów otaczających zonę. Barak był przegniły, zaduch i dzieła siatki ^{leżących} leżących na polepie baraku. Strzałok wskazał miejsce gdzie mnie położono, między Uzbekiem i Ukraińcem ^{starym} wyglądającym, a rzduż przejścia w baraku, po obu stronach leżeli chorzy. Brat ^{przeniósł} do Ukraińca prosząc o pomoc dla mnie, a ten popatrzył na mnie i rzekł: "cynga" /szkorbut/, a potem dodał już do mnie: ^{do} pochnisz! Mnie było wszystko jedno, byłem mógł leżeć spokojnie. Stary nie dawał za wygraną. Mówił mi o dole kloacznym prowizorycznym i ostrzegał, że tam często zjawiają się żuliki i rozbiórki ^{na} naga zaklatwiających się, dalej, że bym nie ubierał swego ubrania a wziął buszkat i "briuki", które mi przyniosą i obiecał pomoc, przy wychodzeniu na stronę.

Davidson tam

Gdy kobiety pod kontrolą sreńka rozdawały posiłek, ^{że muszę czekać bo nie} było naczyń dla mnie na zupę rybną. Zjadłem trzy lub cztery łyżki tej zupy o dziwnym smaku i chciałem oddać resztę-mój sąsiad schwytał zupę i sam zjadł.

Miałem więc przyjaciela z jednej strony w osobie starszego Ukraińca, ale drugi sąsiad nie darzył mnie sympatią i w ogóleśmy się nie rozumieli. A w naszej pałatce życie było posępne, większość nas skazana była na beznadziejne oczekiwanie na śmierć. Brud i nieprzyjemny odór i pojękowania, czasem wmyślanie, kłótnie. Mnie było o tyle dobrze, że drżąc ustawicznie i obserwując innych nie musiałem nic robić. Pod wieczór przyszedł do mnie nieoczekiwanie brat, by mnie pożegnać. Bo w dniu następnym z Mańkiem i liczną grupą więźniów mieli jechać gdzieś w stronę Archangielska. Jak mu się udało tu do mnie przyjsam nie zdawał sobie sprawy. Lzy miał w oczach i tylko prosił bym nie umierał, bo jestem potrzebny całej rodzinie. Widzieliśmy się wtedy ostatni raz w życiu. On pozostał w niegościnniej rosyjskiej ziemi i nawet nie wiem do tej pory jak zginął i gdzie. Otrzymywałem później sprzeczne wiadomości od czerwonych władz rosyjskich, to o Syr-Darii, to o żonie w okolicach Ostaszkowa, z Między-nadrodowego ^{brimowego} Krzyża o śmierci gdzieś na dalekiej Północy, a mama dostała wieści, o jego pobycie na Ukrainie. Kuzyn Maniek wiedział tylko, że rozdzielono ich obu na dalekiej Północy,

Po dwóch dniach beznadziejności w tej pałatce dla dochodziągów, zmusił mnie sąsiad Ukraińiec do "wyjścia" na słoneczko przed barak. On mi pomagał docierać do prowizorycznego rowu-ustępu i tam mnie pilnował i jemu zawdzięczam, że los mój się nieco poprawił. Leżałem obok niego przed barakiem na kępcie trawy i ^{at} przyłem na podrutowany nasz obóz w Kotłasiu. Tam za drutami widać było jakieś życie, grupy więźniów-przeeglądali ich przez przechwładne "władze" ogromnego obozu, bojców z karabinami pełniących służbę na wierzach górujących nad obozem, a tu obok nas rowy z zakatwiającymi się chorymi i wysypisko śmieci i kuchennych odpadów-tej kuchni, która tuż obok pracowała. I tutaj pewnego dnia zobaczyłem na wysypisku na pół przegnitą kapustę. Tak bardzo zapragnąłem tej kapusty, że z pomocą grubego kija, który otrzymałem uprzednio jako pomoc w "chodzeniu", podczłgałem się do wysypiska i przysunąłem do siebie kawałek główki kapusty, przegnitej i zacząłem się w nią w gryzać. Nie zauważyłem nadchodzących dwóch mężczyzn i kobiety w prawie ^{je} byłych fartuchach

Zatrzymali się nad ~~całymi~~ i jeden z nich powiedział, co zrozumiałem: "tego człowieka" dałoby się uratować" i zapytał mnie o nazwisko, pochodzenie, zawód i jeszcze coś i nim zdołałem odpowiedzieć mój stary towarzysz z legowiska, odpowiadał za mnie.: Poaczok.. uczytli¹ej ..cynga... i coś od siebie dodał, a ten pytający, miło wyglądający lekarz, "zakluczony" i tu w obozie zajmujący się opieką nad chorymi więźniami oznajmił, że przyjdzie później do naszego baraku i zbada mnie! Odeszli, a mój stary sąsiad, wyglądał na bardzo zdziwionego i tylko kręcił głową. I przyszedł ten lekarz - więzień. Dał mi jakieś tabletki, pozostawił zielony płyn i napar z kosodrzewiny i kazał pić i w następne dni przychodził sam, lub przychodziła więzienna pielęgniarka i podawała mi lekarstwa.

Stan zdrowia mojego zaczął się poprawiać. Wypisano mnie do innego baraku w zonie środkowej, tam w baraku ułożono ^{mnie} na pałatce, bo pałatka była dwupiętrowa i na górne nary wychodziło się po skłupie z nacięciami, a ja dostałem miejsce na polepie, bo mowy nie było bym mógł po skłupie wychodzić na górne nary. Żył^eliczny zostałem do słabo-silnych i musiałem sprzątać w obozie z innymi inwalidami. Zaczęłem jeść chętnie nawet zupę z ryb, potrafiłem jakoś gryść ciemne sucharki i nadal piłem zapisany mi napar z kosodrzewiny. Nadal miałem nacieczenia gruczołów i nie mogłem chodzić, Ale nie pozostawałem już długo w tym przesyłkowym punkcie w Kotłazie. Znowu komisja, przegląd, nawet "bania". W jednej pałatce, była "łaznia" /bania/, kubły z gorącą wodą, mniejsze kubeczki i przydzielano po bardzo małym kawałeczku szarego mydła i kawałku szkła do golenia. Odszukiwały nas kobiety, te "zakluczone". Kładano nam złożone łazki nasze w kątku pałatki i nago podchodzić do kubków, tutaj małą ilością wody kobiety nas zlewały małymi kubeczkami - musieliśmy się poddać ich "goleniu" szkłem /miałem potem dziesiątki zadrapań na twarzy/ potem raz jeszcze kobiety oblewały nas prawie ze ukropem, klęły i jakimiś szmatami wycierały, ,,/byłem wprost zawstydzony, bo te babsztyły poklepywały nas jak konie, a bojezy rzucali "dowcipami ordynarnymi", kpiąc z nieszczęśliwych-kapanych" "/

Potem w drugim końcu baraczku otrzymywaliśmy "nowy ubiór" więzienny! Dostałem "briunki", buszkat niby watowane, ale to była łata na łacie i brudne koszuły i gafki z ordynarnego płótna, ale prawdopodobnie prane i kawałki opon samochodowych o kształcie przypominające obuwie, tzw "rezinki" i koniec!

Powrót do baraku po "wieszce", ustawiono nas w długie szeregi, przeliczano, podawano uwagi i stałe padało słowo: "paniatno!", wreszcie pomaszzerowaliśmy tą bocznice kolejową, na którą niedawno przyjechaliśmy. Przejazd do towarowych wagonów z pomocą psów i popychania i już siedzieliśmy "na pożu", stłoczeni i drżący z zimna i emocji, Ruszyliśmy w głąb Komi ASRR, na północ do następnego łagieru do nowej zony - ludzie sobie nieznani i różnych narodowości. Polaków było kilku, ale ja siedziałem między ludźmi, którzy o nic się nie pytali i o siebie nie mówili - Taka nowoczesna "wieś Babel".

I co było dziwaczne i niezrozumiałe - to to, że przewożono nas z jednego łagieru do drugiego i raz znowu zawędrowałem do I-łag - punktu w Kotłasi. A byliśmy transportowani i barkami i koleją lub poprostu pędzono nas na piechotę. Czasem podawano nr. łagieru, czasem jakiś nazwę lub miano rzeki - np. Peczora, Dzwina Północna, to znowu oblaść - jedno wiedziałem, że albo byliśmy nad oceanem Lodowatym Północnym, tuż na wysepce i tylko mogli nas coś objaśnić więzieni obywatele ZSSR, bo i tych było dużo, także Polacy stanowili raczej mały procent łagierników tu na północy. Spotykaliśmy różnych ludzi, Rosjan, Ukraińców, Uzbeków, Litwinów, dużo Żydów, nawet Francuza, inteligentów jak i uczonych, lekarzy, pasterzy i rolników i robotników i każdy inaczej podchodził do swego pobytu w łagierze! Dużo było popów, księży, muzułmanów, i prawosławnych, katolików i niewierzących - przeciwników reżimu i zwolenników dumnych ze swego Związku Radzieckiego. Tak że nie można było liczyć na jakąś życzliwość czy pomoc ale i tego doświadczyliśmy, lasy, tajga, to zupełnie zaniedbane i niezamieszkałe połacie, a były też i miasta, lecz ja nigdy nie pracowałem w mieście, i nie stykałem się z ludźmi wolnymi.

Prace były przy torach kolejowych, przy wyrębie lasów, przy połowie ryb itp.. Krajobrazy niekiedy piękne, pełne uroku, surowy klimat, wielkie mrozy - mało słońca i takie widoki, które nawet nas urzekały jak zorza polarna /siewierne siewianie/, jak zasy śnieżne, pierwotna tajga, morze ze swoimi łodami i spotkania z nieznaną roślinnością, zwierzętami i rybami - z marną wegetacją Północy z bezczelnością, chuligaństwem to znowu z ludźmi wykształconymi i przekleństwami, z rozpaczą i bezduszością... Gdy przypominają mi się pewne zdarzenia to najczęściej uderzało mnie zwątpienie, arogancja, nie cenienie życia ludzkiego, prymitywizm i pewność tego, że ZSSR to niezwykła potęga!

Obrazy z łagieró.

Gdy wysyłano mnie z pierwszego karnego obozu pracy nr.94 / nie pamiętam kolejności przerzucania mnie z jednego obozu do drugiego, ale to pierwsze zetknięcie się z katóżną pracą utkwiało mi specjalnie w umyśle. /

Przydzielono mnie do brydady, która miała pójść do pracy w lesie. Na przejściu przez bramę, prowadzący nas bojce wygłosił przemówienie, które potem przy wszystkich wymarszach i każdym łagierze było podobne. Dużo gróźb w razie odalenia się od wyznaczonego odcinka pracy, o strzelaniu bez ostrzeżenia i na końcu: "Paniatno rebiata-/-Musieliśmy donosnie odpowiedzieć: "paniatno!" i napierwszeń brygadier, obok strzelka psy, bardzo dobrze przyuczone do szarpania i nawet gryzienia na rozkaz-biednych łagierników, a potem strzelok, lub dwóch.

Przemarsz był późnego, dość długi i wreszcie znaleźliśmy się na wyrąbisku niskich iglastych drzew. Las był dziki. Brygadjerzy rozdawali piły i siekiery. Do mnie brygadier powiedział: "budzisz taptaa" -- "budu" - odpowiedziałem i wziąłem łopate. Należało wydeptywać ścieżki w śniegu do tych drzewek, które były w planie ścinania. Za pół godziny wiedziałem, że to jest praca nad siły, a tu pospieszają mnie drwale i klną-a ja zapadam się w śnieg i nawet nie wiem jak głęboką ma być każda ścieżka, Jestem wykończony, w piętnastominutowej przerwie na kipiatak leżę na śniegu pragnę tylko jednego: odpocząć i spać.

Jak wytrzymałem do wieczora-do tej pory nie wiem. Brygada zbiera się do powrotnego marszu, a ja wstać nie mogę. Bojce wrzeszczy, pracownicy klną. Na moje szczęście są Polacy. Skombinowali z deseczek małe saneczki -iojskie, takie jak biedne dzieci w Polsce używały dla "jazdy na śniegu". Kładą mnie na ten pojazd w ten sposób, że plecy znajdują się na nim, ale nogi wloką się za "sankami" i wiozą mnie, pies bojca poszarpuje za spodnie i "rezinki". Nie wiem ile razy spałem, ile razy rozlegały się wymyślenia, bo drzemałem i w pół śnie przebyłem drogę do zony. Tu powieszono mnie do "wracza". Zauważyłem, że on nie wie co ze mną zrobić-w końcu pozostawia mnie na garstce słomy w tym baraczkach, w którym on "załatwia" chorych. Następnego dnia przebywam w "mied-punkcie" i dobrze, że chociaż dostaję "kipiatoczek". Na dzień trzeci z inną brygadą udaję się do punktu w którym moim zadaniem z drugim nieszczęśnikiem jest układać klocki drzewa na małej lokomotywie, takiej z tajgi. Gramolę się na tender i mój współtowarzysz podrzuca klocki na tender, ja wyłapuję i układam. Nie zawsze wychwytyję klocki

Tempo narzucone w tej pracy jest zbyt duże, a mój "kolega", krzyczy o normie
^{nie} zmieniamy się z miejscami - nie ~~umie~~ umiem odrzucać, a kręgosłup boli nie-
prawdopodobnie... widzę moją nieudolność - a wówczas mój ^{współ}-pracownik idzie
do brygadiera. Zabierają mnie do skórowania kosodrzewiny, Jakoś do wieczru
wytrzymuję, ale normy nie wyrabiam, a więc dostanę mniej chleba i zupy. Tego ~~xi~~
wieczoru wróciłem o własnych siłach do pałatki, ale głodny byłem i w swym bu-
szkacie i spodniach spałem niedaleko ognia zapalonego przez "dniewalnego"
/strażca/ w beczce ^{popiołu} naftowej. Potem praca mi się zmienia: raz skłóbię drze-
wa i klocki, to układam je na stosikach i tu odkrywam tajemnicę. Nosiny przygo-
towane okrągłaki, pomierzone, poprzącinane odpowiednio do składowiska i po krót-
kim czasie, gdy brygadier oddala się od nas i idzie do innych grup czy innych
prac, ^{współ}towarzysz podchodzi do stosików już ołówki pozaznaczonych jako
odebrane, szybko z tych ^{stosików} jedną ^w bodaj warstwę zabiera na nasz stosik
, umiejętnie przycinając oznakowane klocki i ..norma może być wykonana. Później
widziałem nie takie sztuczki i "wyrabianie" norm. W mej pracy w laskach byłem
~~karwal~~ "urwałem" i jakoś ^{nie} zaadoptowałem przy pracy z piłką, a to dzięki więźniowi
Polakowi. Natomiast widziałem zezwierzęcenie tych, którzy tutaj już dłuższy czas
pracowali, lenistwo niektórych i cwaniactwo, uczyłem się przekleństw, ^{współ}czu-
łem Uzbekom, którzy ^{nie} nadawali się do tego klimatu i pracy. Marzyłem tylko o
śnie, a tu nieraz w nocy budzono nas, ^{wy}jeżdżano na plac odpraw, należało się roz-
bierać i był przegląd "wieszcy" i baraków. Zresztą różnie w zonach bywało - a
często bez uzasadnienia i bezmyślnie przepędzano nas z jednej zony do drugiej,
często na piechotę, kolejką, lud barkami. A dlaczego? To już tajemnica zawiadują-
cych kagierami tam między Uralem, morzem i ~~---~~ i obszarem nad rzekami Uchta, Peczra,
Dźwina ^{Wyczerpa} północną, a poza tym nie bardzo się orientowałem gdzie się człowiek znaj-
duje. Ciągłe komisje, wyznaczania placówek pracy, ciągła zmiana twarzy, pracy itp
^{współ}więźniowie różni - niektórzy zapaleni wielbicieli ustroju, inni myślący tyl-
o przetrwaniu, o oszukaniu swych "przełożonych", o przeklinaniu lub nawet bijatyce
z deportowanymi, rozmowy ^{nie} wbrew i kradzieże wzajemne, nawet oszczędzanego
i przydzielanego pożywienia. A to ostatnie to z reguły, albo marna zupka z ryb,
kaszki, suchary, lub czarny gliniasty chleb i "kipiatoczek", a ponieważ tak jak
ja wielu nie miało miseczek czy kociołków, więc pożyczano sobie wzajemnie mniej
lub więcej chętnie, co zależało od właścicieli naczyń, łyżek i mycia tychże.

W jednej zonie dostałem się do brygady Antona Kaspra, Ukraińca, dpsć młodego robotnika, który wyrozuniał traktora swych podopiecznych, a mnie tolerował bez uprzedzeń i nawet mógł mi przeżyć "stasiek". Był czynny, a jego brygada też robiła co chciał. W zonie naszej, dużej, Anton właśnie zorganizował "Czerwony ugołok" i..ukraiński chór, "kładze wewnątrz łagieru pochwałały jego inicjatywę, a Ukraińcy chętnie śpiewali. Robota była jak na łagieru dość możliwa, bo pracowałem wewnątrz zony i należałem do "dochodziągów" i po pracy rozmawiałem z Antonem o Polsce, o świecie, o zwyczajach itp-on interesował się wszystkim, ale wierzył, że komuna świat zwycięży, bo jak mówił: "system" jest dobry, tylko ludzie go spaczyli" i dziwił się, że ja nie rozumiem jego poglądów i zainteresowań. On twierdził, że wyjdziemy z łagierów i w Rosji wiele się zmieni, a i nam Polakom wybije ^{1/2}lesza godzina. "wy pokraśniejecie"-mówił o Polakach-"my trochę pobieglejem i będzie Polska z Ukrainą". Sprzątałem wewnątrz zony, przewoziliśmy z miejsca na miejsce ziemię, żeby znajdujące się tam bagniste tereny osuszyć, on też pożyczał mi chętnie swej glinianej miseczki po spożyciu swego obiadu i co było dla mnie zaskoczeniem, często pozostawiał mi część swojej "kaszy" i zachęcał był zjadać, obok swej normalnej porcji-nawet nie brzydziłem się, bo był czystym i przyjemnym chłopcem, niewiele starszym ode mnie. Sam nie mógł czasem jeść, mówiąc, że tego lub tamtego nie lubi. Ale jak wszystko się w łagierach zmieniało i mnie przerzucano do innej brygady, takiej, która wychodziła poza zonę do pracy,

Otrzymałem brygadjera Rosjanina, który był złośliwym człowiekiem i ten polecił mi bym pracował z młodym człowiekiem, ale jak inni mówili "sumasatrym", co oznaczało niespełna rozum. -Podchodzę do tego chłopaka, w momencie nakładania przez niego darniny na torowisko i mówię, że mamy pracować wspólnie przy jednych nosiłkach przy poprawianiu nasypu. Ten oparł się na łopacie, popatrzył na mnie i mówi: "a ja ciebia ubliju"! Nie wiem dlaczego powiedziałem "a nie ublijosz mnie!" i chcę sięgnąć po łopatę, "Dlaczego nie?"-pyta mnie ten szaleniec. "Bo mamy razem pracować"-odpowiadam, a on poderwał się i pyta "a budziesz ze mną rabotać? хочysz?" "da"-moja odpowiedź, a on dalej mówi coś do mnie dość spokojnie. Wtedy ja na nasze nosiłki nakładam darninę, wtedy i on nakoczył nieco ziemi, a ponieważ nosiłki były pełne, podejmuje przednie uchwyty, ja tylne i biegiem na wysypisko

Pracował jak opętany. Szybko, zrećznie i cały czas mówiąc do mnie i głośno tak ze przyszedł brygadier, popatrzył na nas a my właśnie z pełnymi nosilkami biegiem i tak pracowaliśmy w pocie czoła, ale dobrze i on wyrabiał normę doskonale, ja nie nakładałem wcale dużo ziemi, bo widziałem, że nie podołam robocie, więc tylko w przenoszeniu ziemi nie ustępowałem jemu, odpoczywając przy nakładaniu. Tego dnia kiedy Kasper pożyczał mi miseczki przy posiłku i pocieszał, że jeszcze wrócić do niego - po posiłku mój niedorozwinięty towarzysz pyta: "nie nasz kociołek?" - Zgodnie z prawdą mówię, że nie mam i nie mam nadzieji, by mieć. Pod wieczór kiedy rozstawaliśmy się z moim współpracującym, on mówi: "ja ci zrobię kociołek" - W następnym dniu nie mówiliśmy nic o kociołku tak było dalej, ale polubiłem chłopca i widać było, że i ^{on} nabrak do mnie przekonania, w nocy pewnego dnia budzę się nagle, bo słyszę strzelaninę, wrzaski i naszego brygadiera, aby wychodzić na apel. Zimno, mrok, ludzie się tłoczą, popychają i jakoś nas ustawili - obok brygadierów, inni urzędnicy łagieru i bojcy, sprawdzają raz i drugi brygady - nigogo nie brak, nie wiadomo dlaczego ten apel i rankiem dowiadujemy się w kolumnie marszowej, że strzełek z więzienia zauważył sabotażystę na dachu naszego baraczkę i wypalił do niego, ale nikogo nie brakowało i wszystko wydawało się, że jest w porządku. "Oszybka! - ktoś oznajmił i wzięto na języki strzełka, pewnie mu się coś zdarzało, albo usnął stojąco. Za dzień jeden mój towarzysz oznajmia mi, że ma dla mnie kociołek, ale zaraz dać go nie może." - nielżia - mówi i śmieje się wesoło, widząc moje zdziwienie, przekazuje, że przed nocnym alarmem on wspiął się na daszek naszej pałatki z "łomem" i urwał kawałek rury kominowej, schował ją w ^{któr} dobrze i już zrobił kociołek z tej rury i dał dno drewniane oraz drut zamieszłuchwytu i mam już kociołek, ale nie chce bym go teraz używał bo "nie lżia"! Chciałem powiedzieć o tym Antonowi, ale właśnie w czasie naszej pracy poza zoną część ludzi odjechała na inne miejsce i z nimi Antoni - A za dwa czy trzy dni mój kociołek zaczął mi służyć - nawet służyć długo. A mój nowy, przyjaciel cieszył się i tylko nie wiedziałem jak on to wszystko zrobił, gdzie robił i był mi wierny. Gdy jego zabierano, to on się awanturował by i mnie przenieśli z nim do innego łagieru.

A ja zostałem przesunięty do brygady Fronia, nowo-utworzonej, dla zbierania "klukwy", owocu podobnego do polskiej borówki, bardziej cierpkiego, a używanego przy szkorbutcie. Dostęp do klukwy był od strony rzeki, więc zbierający

brodzili w lodowatej wodzie, w swych ubraniach i tak "na mokro" ciężko pracowaliśmy zbierając do kociołków owoc i przesypując do beczek. Norma była wysoka i w tydzień po rozpoczęciu tej zbiórki, brygada Pronia dostała straszliwe cięgi za małą wydajność, a Proń tłumaczył się mocno, powołując się na warunki: zimno, woda z lodem, dość mało klukwy i na to że zbierający to słabo-silni. Na nie tłumaczenie na nie obietnice-krytyka twarda i pogrożono nam karą. A nikt nie chciał zrozumieć nas biednych i chorych. Jedno było w tym dobre-jedliśmy klukwę zbierając ją równocześnie, a to były witaminy tak bardzo nam potrzebne. Ale spanie w mokrych brudkach, choćby nieco podsuszonych przy beczce z ogniem ogrzewającej naszą pałatkę było dla zdrowia bardzo szkodliwe. Niektórym moim przyjaciółom Polakom prznosiłem przez bramę wejściową do zony w kieszeni buszłatu nieco jagód, było to przyjmowane bardzo życzliwie,

Jednak zachorowałem znowu i to poważnie i skierowano mnie do pałatki przeznaczonej dla chorych z naszej zony. Wysoka temperatura, gruczoły były nacieczone, trudności w poruszaniu się, tak, że przeniesiono mnie na nosiłkach, które innemu celowi służyły.. W tej, jak mówiono "bolnicy" lekarz miejscowy mnie przebadał i umieszczono w jednej z dwóch pałatek, z sobą połączonych, gdzie chorzy leżeli na narach zbudowanych systemem wagonowym, tak, że dostęp do każdego chorego był ułatwiony, a chorzy tylko w dwójkach swych miejscach do leżenia dotykał się plecami. "Dniewalny" palił w naszej beczce orzewającą i czuwał przy chorych w dzień i noc, Pomiędzy pałatkami był "pokój" przyjęty, który mogłem z mojej nary obserwować. Był lekarz Rosjanin też "zakluczonyj" i "med siostrą", pomoc jego, oczywiście pielęgniarka z zawodu, ale obecnie odsiadująca karę za "swoje przestępstwa". Chorzy traktowani byli w miarę możliwości raczej z życzliwością obowiązku. W pałatce było ciepło, a nawet gorąco, ale smródziak panował nieprzeciętny-bo okiełnać nie można było otwierać, bowiem zachodziła obawa, że przegnite ramy wypadną a skąd możnaby otrzymać nowe? Mój sąsiad, którego plecy musiałem ogrzewać był bardzo chory, z trudnością się poruszał i jęczał ustawicznie. Dwóch staryków-dniewalnych obsługiwało najchętniej "pieczki"-widać lubili ciepło, ale podać wody choremu, a to był zawsze problem. Czasem przez pałatkę przebiegała jedna z pielęgniarek i lekarz miał obchód codzienny i szybko ekspediował zmarłych z sali i równie szybko wypisywał z "bolnicy". W tej pałatce, w której mnie umieszczono, nie było Polaka, jak się przekonałem z ust "wracza", Leki jakie mi podawano otoczone były tajem-

nicą, ale poznałem już napor kosodrzewiny. Jedzenie nie różniło się od codziennego dla pracujących, ale mniej było chleba. Mniej kaszlałem, odpoczywałem i tylko nacieczenia gruczków były coraz wstrętniejsze. Chorzy często się zmieniali. A jedno co było przykre, to to, że myśmy prawie się nie myli. Pewnego wieczoru lekarz przysiadł się do mnie, ostukał mnie oznajmił, że w dniu następnym odprawią mnie do zony. A więc znowu praca, a czułem się tak bardzo źle i słaby, więc mówił, że nie mogę ani wstać, ani chodzić. Wtedy lekarz: "dostaniesz laskę!" Przyniesiono mi dość zgrabnie wytoczoną niby laskę, w każdym razie drążek z uchwytem. Źle spałem - myślałem o swoich, o Polsce, gdy czułem jakiś chłód po plecach w pałatce świeciła się stajenna lampa, kopiąca mocno, a przy "pieczce" drzemał dniewalny. Chorzy już czuli, odwracam się twarzą ku mojemu towarzyszowi nary. Oczy wystrzeżone, twarz zapadnięta - umarł. Wolałem dniewalnego. Przyszedł niechętnie i podszedł do zmarłego; "podochnął" - całe zdziwienie i do mnie: "dawaj go na pożu" ale nim się zwlokłem, dniewalny, ściągnął zmarłego na podłogę i okrył go podartym kocem. Czuję, że mnie temperatura wzrasta - było mi gorąco i moje chępe gruczoły ciekną. Mówi dniewalnemu, ale on machnął tylko ręką. Męczyłem się i drzemałem trochę, a gdy wnieśli "kapiatok", zauważyłem, że zwłok już nie ma. Prosiłem o wracza - ale przyszła tylko pielęgniarzka. Zbadała mi temperaturę - było prawie 40 stopni. Za parę minut jeszcze raz się zjawiała, znowu poniar temperatury, więc ściągnęła "wracza" - oglądając nacieczenia, opukał mnie i mówi: "pojedziesz do "bolnicy". Z obu pałatek w prowadzono "wypisanych", a ja pozostałem, a pod wieczór otrzymałem inną koszulę, ułożono obok mnie mój buszkat i resztę garderoby. Gdzieś około dziesiątej wieczór zjawili się ^{awizantów} w pałatce i na kocu po ubraniu się zostałem wyniesiony z baraku. Przed wejściem stały chłopskie sanie, a długi płozach, a na garsce słomy już ktoś leżał. "Dawaj brat" - zawołał ktoś, a bojec, który stał obok sanie w czapie ogromnej i korzuchu oraz jak się domyśliłem woźnica przesunęli kęśkiego, a ten zaklął po polsku. Ułożono i mnie wpychając "laskę". Na saniach leżał starszy ode mnie człowiek, chudy i patrzący surowo. "pan Polak" - spytałem - poweselał - "to będzie lepszą kompanią" - powiedział - Nowakowski, że "wowa". Tak, był to inżynier z radiostacji lwowskiej, który jakoś postarał się, że ~~zostanie~~ skierowano go do "bolnicy". Woźnica podciął konie, strzeżek usiadł obok Nowakowskiego i pojechaliśmy. Najpierw równina pokryta śniegiem dużym, potem las. Chłop poganiał koniki i pokrzykiwał głośno, bojec drzemał, a ja się męczyłem na tym pojeździe.

Nowakowski gadał niemal cały czas-wypywał kto jestem, potem mówił o sobie i w pewnym momencie rzekł: "nie dam się tej swoloczy", będę ja ich kiwał zawsze i wszędzie"-Jechaliśmy nioprzetartym szlakiem. Konie to potykała się, to parskały a bór ciemny i gęsty. Przewazały świerki.

Bardzo trudno było jechać w tym pierwotnym lesie, ale widać było, że nasz woźnica nie pierwszy raz jedzie tą drogą. Katarnia zawieszona na dyszlu dała słabe światło, już zaczynało szarzeć, gdy stanęliśmy przed chutor^{em} czy starym dworem. Przed ogromnym z potężnych bel zbudowanym budynkiem, w którym widać było światła w oknach, znajdował się majdan, woźnica zastukał do drzwi.

Strzeżek wysiadł z sań z karabinem i gdy drzwi uchyliło^{mi} jakieś trzy postaci w białych wyszły z domu a w drzwiach stanęła starszy chłopisko w baranicy.

"Zdrasujcie"-rzekł człowiek w białym. Pojcie podał mi papiery. Dwie kobiety podeszły do nas. Nowakowski jakoś zsiadł, a niestety nie mogłem. Kobiety mnie ścianały, wzięły pod ręce zaciągnęły na mały ganeczek i do dużej sieni, a potem do sali, w której było sześć czy siedem łóżek. Trzy były wolne, więc ułożono mnie na jednym, ściągając^o rozinki i buszlat. Obok mnie ułożył się Nowakowski. Było leżących czterech. Patrzyli na nas i na tych troje w białym bacznie. Jeden był Litwinem, zdaje się Cywinkas, a pozostali to byli zapewne Białorusini. Cywinkas objaśniał nas po polsku, jakimś śpiącym żargonem. W bolnicy były dwie salki, gabinet, a zarazem pokój mieszkalny dwóch lekarzy, kucharz, stary służba i trzy kobiety, w tym jedna z wizytą kontrolną, nie więzioną. Ona to podtrzymywała mnie z jednej strony pod ramię-konsomołka Marusia, pona siebie w walonkach, druga pomoc, dla obsługi chorych, jedną gdzieś w kuchni i to wszystko. A zapomniałbym o strzeżku, który z miejsca wypytywał nas o zajęcia przy więzieniu, lekarz-zakluczonyj z miejsca przebadał nas obu, a potem zajęła się nami konsomołka. Bardzo się zainteresowała, że jesteśmy Polakami. Ona często wchodziła do naszej salki, aby popytać o pracę w Polsce, o kobiety, nauczanie, o stroje i wogóle wykazywała zainteresowanie nami jako Polakami. Jeszcze raz nas przebadał drugi lekarz, starszy Rosjanin-pielęgniarka dość miła dziewczyna przyniosła jakieś leki i chleb z herbata, chyba ziołową. Potem zaordynowano nam dietę. Otrzymałem na rano pół szklanki mleka, czego nikt nie otrzymywał! Nowakowski nawiązał kontakt z Cywinkasem i objaśnił mi, że to taki Litwin, jak on Ukrainiec. Leżący przy ścianie Młody Rosjanin, mówił z zapalczywością w

głosie: mianowicie Polaczków, czy coś w tym rodzaju i jak się okazało brat jego zginął w bitwie pod Warszawą w 1920 r. Nowakowski zapytał go dlaczego się jego brat pchał pod Warszawę, na co odpowiedzi nie dostał. A Ływiśkas bez przerwy opowiadał o Wilnie, gdzie został aresztowany jako socjalno-opasny element. Bardzo czynną była pielęgniarka, a stale na taboreciku siadywała obok nas Polaków komsomołka Marusia, wykazując pewną przychylność, co na jej rolę jako kontrolera łagierów z ramienia młodzieży było dziwne. W beczce w dużej sieni wykąpano nas i dano dość czystą bieliznę i derki, pod którymi leżeliśmy nie były bardzo zniszczone. I jakoś ustabilizowało się nasze życie w tej "bolnicy" Nowakowski w krótkim czasie zaczął chodzić to do drugiej sali chorych, to do kuchni i lekarzy. Zawsze miał dużo do opowiedzenia. W każdym razie było tutaj lżej niż w pałacie, a to, że brak było wielu leków i możliwego jedzenia, to fraszka, bo nie było przekleństw, pokrzykiwania i dokuczania. Widziałem tylko, że lekarze gorliwie pracują w obecności Marusi i starają się sobie pożykać ją. Byłem tam przez dziewięć dni i zawsze otrzymywałem mleko co bardzo bolało tego wroga Polaków. Pod koniec zalecano mi wstawanie i przechadzanie się o laseczce lub z pomocą obu dziewcząt. Komsomołka Marusia nieraz dyskutowała z lekarzami i rękodzielała pielęgniarce czy powarysze /kuchenna/ - patrzyła jak nam wydają posiłki i nawet dwa czy trzy razy sama podawała leki. Pewnego dnia gdy zmęczony "przechadzką" po sieni, usiadłem tuż koło drzwi gabinetu lekarskiego, ona podeszła do mnie i spytała: "nu kak Stanisław Stanisławowicz?" - pierwszy raz w ten sposób przemówił do mnie ^{lewiś}. A potem pytała znowu o Kraków, o kobiety w Polsce i co będę robił po odsiedzeniu wyroku. Zaskoczyła mnie ostatnim, bo sam nie wierzyłem, że Polska zniknie na zawsze z mapy Europy i że ja odsiedzę wyrok. Tłumaczyła mi, że Rosję można pokochać i życie w niej nie jest trudne. Gdy o tej rozmowie opowiedziałem p. Nowakowskiemu, pokręcił głową i powiedział, że albo to jest prowokacja, albo może ona chciała się mną ^{zajść} po wyjściu z łagierów. Uprzejmą dla mnie była też ta pielęgniarka, która mnie wprowadzała w noc przyjazdu do bolnicy. Na lekarzy nie narzekam - oni starali się wogóle o to by chorzy mieli możliwe warunki, i jeśli są jakieś jasniejsze wspomnienia z pobytu na dalekiej północy, to tę "bolnicę" wspominam milej, bo tam zdawało mi się że i w ZSRR też można trafić na człowieka, nim zostałem wypisany - odjechała komsomołka z przybyłą grupą łojców i NKDzistów. A tych dziewięć dni pobytu

w "całtorze na leczeniu wspominał jak cud.

Wreszcie zostaliśmy wezwani z Nowakowskim do gabinetu. Domyślaliśmy się o co chodzi, bo dzień wcześniej zostaliśmy wyprawieni Cywinkas i ten zły bolszewik, który stale podkraślał swą nienawiść do Polaków. Pierwszy rozmawiał z lekarzem Nowakowski, a gdy wyszedł krótko powiedział: "Już koniec!..

Potem lekarz mnie wezwał i patrząc dziwnie na mnie zaczął mówić po polsku: "pan kotek był chory i leżał w kółeczku i przyszedł pan doktor i pyta jak się masz koteczku..." a gdy ja się zewąłem zwyrka przeznaczonego na badania chorych i mówię "to pan doktor mówi po polsku!" On objaśnił mi, że w r. 1905 pracował w Warszawie i nabrał wielkiego szacunku do Polaków, gdzie znalazł prawdziwych przyjaciół, zawsze starać się będzie pomagać Polakom i tylko nie mógł się przyznać, że zna Polaków, ale widział jak się sprawowaliśmy i stąd moje mleko i stąd tolerowanie Nowakowskiego, który powinien być dawno wypisany. Uścisnął mi dłoń na pożegnanie i prosił wspominać go zyczliwie!

W szpitalu zyskałem przyjaciela w osobie p.inz. Nowakowskiego i z nim znalazłem się w nowym dla mnie łagiewie, niedaleko Uchty. Nie byliśmy sąsiadami tego samego poziomu, bo mnie ułożono między Chińczykiem a b. sierżantem wojska polskiego, o którym zupełnie błędnie byli poinformowani nasi grabiciele. Miał szczęście, że nikt nie wiedział, że to zarodowy żołnierz, bo zostałby wysłany do łagierów dla żołnierzy czy oficerów i skończył by się wcześniej, prosto jak mówiono rozstrzelivano żołnierzy lub topiono wraz z barkami na oceanie lodowatym. Nie wiem skąd dochodziły wiadomości o egzekucjach dokonywanych na żołnierzach, ale tak "po cichu" wiadomości były podawane. Mój sąsiad Chińczyk był aresztowany w Polsce, bo gdy wojna 1939 roku wybuchła, handlował w Poznaniu i z innymi mieszkańcami Poznania zawędrował do wschodniej Polski i gdy wkroczyły sowieckie oddziały, on zgłosił się do NKWD z prośbą o pozwolenie na powrót do Chin. Rezultat - aresztowano go i teraz tu w obozie starał się pomagać braciom Chińczykom, którzy w połączonej z naszym barakiem, pałace, gnieździli się na podłodze i nie mogli dogadać się z nikim. Powiewała mój sąsiad rozumiał rosyjski władzę, łagierną, więc był im potrzebny. On nigdy inaczej nie mówił; jak "schmucige Russe" i nie mógł zrozumieć ich postępowania i krzywdzenia jego i jego współbraci. Chwalił ustawicznie Poznań i schodził do tej drugiej pałatki, a wtedy mój drugi sąsiad przekonywał mnie, że Chińczyk cuchnie

Nie wiem kiedy i gdzie zostali zabrani Chińczycy, ani co się stało z sierantem, bo przerwany zostałem do innej zony, w której spędziłem święta Bożego Narodzenia i na które składałem dzień po dniu kawałeczki sucharków, którymi nas teraz co dziennie raczono. Zawsze wieczór na derce tuż obok mnie podrzcano sucharki, na określoną ilość więźniów i sami musieliśmy się dzielić, rozkładając na kupki suchary. Porcje były minimalne a w podziale uczestniczyli wszyscy, na których były wydawane. Usiłowano zawsze ściągnąć ku sobie bodaj kawałeczek suchara z kupki, ale ze każdy pilnował rozdziału i drżał by sąsiad więcej nie dostał, stałe były kłótnie, wyzwiska, a nawet bojki. Lepiej było gdy wydawano gotowe pajki, bo chleba nie dotykały dziesiątki rąk i jakoś spokojniej odbywał się podział. Mnie dobrze służył "kociołek" podarowany przez niepełno-sprawnego umysłowo chłopca. O myciu naczyń nie było prawie mowy, chyba, że czasem udało się bodaj śniegiem umyć i "kociołek". Warunki były prymitywne, w nocy kapali na nas pluskwy z sufitu i niemikosiernie gryzły. Mój tłumoczek jeszcze z Horochowa nadal służył za "podglówek" i był bardzo brudny i dlatego może nikt mi nie usiłował go ukraść / a w nim był cenny skarb: stare ubranie z Polski / Budzono nas często w nocy, czasem polecano ustawiać się w środku baraku, albo na zewnątrz. Drżeliśmy z zimna i wtedy "pieczka" z beczki na ropy była naczemniejszą dla każdego. Dniwalny zapowiadał wejście każdej znaczącej osoby okrzykami / nie wiem czy dobrze zapamiętałem /: "nimanie, wnimanie" i oznajmiano co chodzi, czego niestety przeważnie nie rozumiałem! Ciemno było gdy ruszaliśmy pod opieką bojców i psów do pracy i wracaliśmy też gdy było ciemno-nieraz w szarudze, w gęstym opadzie śniegu, a sople śniegu sterczały, przy ustach, na oczach. -zawsze mokrzy, pozawijani zdobytymi szmatami, Mnie w jednej zoni gdzie Polaków było dużo, przeżywano Idenem / Eden. elegancki minister tuż przed wojną w Anglii a to dla mego stroju: buszkat z 1000-em żat, podobnie watnie "briuki", rękawiczki powijane szmatami, na rękach serwetki z domu siostry-brudne i podarte i czapka narcista szwagry, niegdyś popielata, teraz koloru nie można było określić, laska ze "bolnicy"-kołek z uchwytem i kociołek. Przypominam sobie, że tak w borze jak na brzegu rzek czy innych pracach, zawsze najpierw zabezpieczałem w odpowiednim miejscu mój osobisty majątek z kociołkiem i tłumoczkiem. Czasem bym trzebyło zostawiałem w pałatce ten skarb, szczególnie gdy pracowałem wewnątrz zony lub w jej pobliżu. Najgorsze były zmiany łagierów-

Uzasem udawało się natrafić na ludzi jeszcze nie zezwierzęconych i było można porozmawiać, poskarżyć się na ciężką dolę, a nawet normalnie mówić. Pamiętam w jednej zonie profesora uniwersytetu Kazania, /nazwisko prawdopodobnie Ernst/, który miał w Polsce na uniwersytecie brata astronoma/ i ten mi powtarzał, że nasze cierpienia ustną po śmierci, że nigdy nie zostaniemy zwolnieni, bo sam już był w łagierach ponad 10 lat, a wyrok tylko 8, a jednak "dobawka" otrzymał i nie spodziewał się nigdy wyjść-On miał dużo do omawiania i dawał różne wskazówki-szczerze współczuł Polakom i cenil niektórych za postępowanie czy za zachowanie w tak ciężkich warunkach.On twierdził, że naród rosyjski musi czuć nad sobą knut, że potrzeba mu kagańca i wtedy przedstawia wartość i dlatego Stalin jest czczony i zawsze poważany, "Wśród nicwolników Słowian z domieszką krwi mongolskiej -dlatego jest taki prężny".Natomiast inaczej mówił pewien francuski badacz polarny, aresztowany po wyprawie polarnej.On twierdził, że musi ktoś wymordować ten naród dla sprawiedliwości dziejowej.Sam nie mógł się pogodzić ze swą katorgą i przeklinał ZSRR i jego bezduszość, jak i bezduszość tych narodów, które usiłują współpracować z Rosją i komuną. Wiele spotykałem rozumnych ludzi, ale już zdziwaczałych. A i Polacy w łagierach nie zawsze trzymali się razem.

Nie oczekiwanie dostałem przydział do stolarni w dużej zonie i to do robienia łyżek z drzewa, dużych przeznaczanych dla żołnierzy i więźniów. Norma była 32 łyżki na dobę-otrzymywaliśmy klocki drzewa, małą siekierkę i ostrzy jak gdyby szwajcarski nóż, oraz płyn do powlekania wykonanych łyżek dla wykańczania.Nie miałem pojęcia o takiej pracy-i w pierwszym dniu wykonałem 4 łyżki zamiast 32 i te też brygadier mi odrzucił, bo były do niczego! Oczywiście mowy nie było bym dostał wystarczający posiłek-150 gramów chleba zamiast 600 czy więcej..Brygadier zlecił mi sprzątać stolarnię po pracy i sprzątanie w czasie dnia, no i spanie w stolarni podczas nocy z obowiązkiem pilnowania jej.Nie nadawałem się do tej funkcji-jeszcze z pilnowaniem w nocy jakoś wytrzymałem, ale sprzątanie z pod rąk stolarzy, wynoszenie ostrużyn, znoszenie przekleństw/gdy nie podawałem właściwych narzędzi, kleju itp. sprzecznych poleceń i w chwili wchodzenia kogoś z "władz" wołania :Wnimeri palenie w beczce opalała baraku, to było nad siły.Na szczęście potrzeba było płotników-cieśli do łatania dachów, więc mnie tam skierowano i pierwsza co

tacja nasza była przedziwna-sami słabo-silni,praca tylko ~~wewnątrz~~ wewnątrz zony,nie-
 wielu więźniów, obojętnych na wszystko "zarząd zony" strażkowie.Nawet nie by-
 ło wiez strażniczych,odrutowanie i pustka wokół.Ale wiedziano o nas.Wyszliś-
 my z transportem do dużej zony z licznymi wieziami strażniczymi i mnóstwem
 łagierników.Tu pracowałem przy ściąganiu szpilek z dostaczonej świerczyny i
 robieniu "naparu leczniczego".Bezmyślna robota i bezmyślne poganianie nas
 do tej pracy.Wiedzieliśmy, że jesteśmy tutaj czasowo nawet wymagań wielkich
 nie stawiano,ale ziemianki w których nocowaliśmy były ponizej wszelkiej kry-
 tyki.Ciągle chorowałem,ale pracować musiałem.Było dużo Kirgizów i Uzbeków,le-
 niwych i wyraźnie ~~wykazujących~~ usiłujących nie pracować,bo jak sądzę
 nie mieli sił do tej pracy. Nie byliśmy długo w tej zonie.Pewnego dnia

po dość długim marszu dotarliśmy do bardzo skromnego przystanku i zakadowan-
 no nas do właśnie przybyłego eszałonu z wagonami...osobowymi.Zawieziono nas
 do bazy w lesie,dość dobrze zorganizowanej.Widziliśmy powrót z lasu brygad
 roboczych,nawet nie długo czekaliśmy na zupełną i romieszono nas po pa-
 łatkach dość gęsto obsadzonych.Wyznaczono mi miejsce obok dość grubego Bia-
 ło-rusina,kulałego z lagą wcale nie łagierną.Mówił po polsku i zwał się Win-
 niczek.Powiedział ^{ze} jego winą było to, że uznano go za kułaka z okolic Nieś-
 wieża a obok niego sypiał z drugiej strony sypiał "pan" Paliwoda adwokat z
 Nieświeża,bardzo mądry Rosjanin,obywatel polski,który mieszkał w Nieświeżu kan-
 celarię,piękny dom i który w Polsce znalazł się po rewolucji,w Polsce i te-
 raz wpadł w łapy czerwonych.Był bardzo nieszczęśliwy,bp tracił wzrok,a le-
 karstwo mu się kończyło i nie było żadnej nadziei na otrzymaniu leku-Tyle
 dowiedziałem się od kułaka białoruskiego nim przyszedł adwokat.Poznaliśmy
 się i od tej chwili pozyskałem przyjaciół w tej zonie.Adwokat miał czarną p-
 przepaskę na oku, pod którą chował małą flaszeczkę z resztkami kropel do oczu

Pisał prośby do władz ZSRR i do rodziny,ale nie było odzewu.Dlatego
 byk zroszczony!Oni obaj pracowali wewnątrz obozu,a ja chodziłem na skóro-
 wanie kosodrzewiny do lasu,potem na zbieranie kłukwy,ale wieczorem rozma-
 wiałem z nimi o chwili obecnej i przyszłości.Wspominali czasy polskie.Obaj
 byli zamożni i obaj teraz cierpieli.A jednak p.Paliwoda uważał się za Rosja-
 nina,a Winniczek za Biało-rusina i chociaż cierpieli nie klęli i nie na-
 rzekali na los

Pan Paliwoda radził mi bym z nimi rozmawiał po rosyjsku, bo może mi się lepsza znajomość tego języka jeszcze przydać, a moją z jego pomocy korzystać, tym więcej, że już w Horochowie poznałem cyrylicę i rozumiałem j. rosyjski, jak twierdził dość możliwie. Oni po polsku mówili dobrze, ale trzeba coś robić, by nie oszaleć. Po wachaniu zgodziłem się na naukę na chodząco, po posiłku a przed snem-opowiadałem treść polskich, niegdyś czytanych, książek-obaj słuchali i pan adwokat poprawiał mnie i kazał powtarzać trudniejsze zwroty. Pan Winniczek śmiał się z mojego "gadania", ale cieszył się, że tak dobrze do nich się "dopasowałem". Obiecował, że po wyjściu z łagieru, zabierze mnie do swej wioski.

Oni obaj mieli zajęcia w zonie. Sprzątanie dość rozległej zonie, w pałatce gdzie przebywali chorzy, w pałatkach naszych, więziennych, obierali rybki na zupy, czyścili kotły, sprząтали łagierną kancelarię i robili w zewnętrznym obejściu. Gdy chodziłem zbierać klukwę, oni czekali bym ich czymś poczęstował-czymś tzn klukwą, którą metodą uprzednio poznaną-jagody były w kieszeni buszkatu, a kociołek musiał być pusty, przy przeglądzie na bramie. Pewnego dnia nie dyżur Winniczka przy posiłku po naszym powrocie z lasu. Paliwoda na moje pytanie o niego, położył tylko palec na ustach i szepnął: "dostał przesyłkę". Winniczek wrócił z "kancelarii" na bramie, a więc z wejściowej strażnicy po co najmniej godzinnej nieobecności-wrócił zły i przyniósł mały węzełek z sobą-toby to "przesyłka" z domu. W kancelarii spisano protokół, musiał przeczytać list z domu i..., podzielić się zawartością paczuszki:-cebulą, kawałkiem słoniny, serkiem i skodyczami. To co zostało zabrane przez strażników to stanowiło 2/3 produktów żywnościowych paczki, a podpisał odbiór całej przesyłki. A wieczorem gdy leżeliśmy na pryczy, Winniczek cichutko podał mi paseczek słoniny. Był to piękny gest i niespodziewany. Oczywiście wiedział, że ja się nie mogę spodziewać jakiegokolwiek pomocy od rodziny, bo jak, a jednak poczęstował nie tylko Paliwodę ale i mnie.

W parę dni po tej przesyłce-po powrocie z lasu nie pozwolono iść do baraków, ale brygada obok brygady, czy mieszkańcy jednego baraku za drugimi ustawieni zostaliśmy w czworobok i strażników, nasza lokalna władza zony i komandir stanęli przed nami. Nie lubiłem tego rodzaju zebrań, bo naogół przynosiły coś złego, ale tym razem-komandir oznajmił, że normirowczyk-nariadczyk "podochnął i drak jest normirowczyka w Zonie. Zwrócił się komandir do zakluczonych o zgłoszenie się do pracy, dla potrzeb "kancelarii" zony. Potrzeba człowieka,

umiejącego czytać, pisać w j. rosyjskim, i liczyć! Apel wypowiedziany głośno i z zachęcającego lepszego traktowania przez Łagierny przepis, nie zyskał ani aplauzu ani zgłoszenia. Zapadło milczenie i znowu komandir poparł potrzebę i nic. Nie zwracałem uwagi na ten apel i niewyraźną minę przemawiającego, gdy p. Paliwoda podszedł do mnie i cicho szepnął: "Niech się pan zgłosi!" i wypchał mnie przed szereg, "Nu mołodziec"-słyszczę, i głos Paliwody, że jestem Polakiem, mam wyższe wykształcenie, jestem słabo-sily itp. Teraz komandir popatrzył na swe otoczenie i znowu na członków brygad. Nikt się nie zgłaszał. "Nu charaszol!"-zaczął znowu komandir i zapelował znowu do mieszkańcó^{ów} Łony. W końcu po drugim przemówieniu p. Paliwody-usłashałem, że spróduję i strókok poprowadził mnie do szefa "Łagiernej kancelarii" z bumazką w ręku. Szef zaklucznyj ruski czolowiek, przeczytał liścik komandira, popatrzył na mnie i wypytał o "familie, o srok, o wykształcenie i zapytał dlaczego się zgłosułem, a gdy mu powiedziałem w jaki sposób odbyła się sprawa na apelu, nic nie mówiąc, podał mi papier pakunkowy-kazał przepisać listę jednej z brygad, potem obliczyć jakiś procent-jeszcze raz wypytał o "obrazowanię/ wykształcenie/, zapytał czy umiem grać w szachy i oddał bojcowi bumagę, a mnie rozkazał bym usiadł i zaczął mówić o sobie., że ma 10 lat sroku, że jest z zawodu ekonomistą, że możemy razem pracować i kazał zgłosić się nazajutrz w kancelarii. Tak zostałem "urzednikiem" w Łagierze. Paliwoda cieszył się jak dziecko, a Winniczek z dumą życzył mi dobrej roboty. Jeszcze tego wieczoru kazano mi przanieść się do baraku, gdzie spali prycownicy Łagieru, jak brygadierzy, obsługa kuchni itp. Barak nie miał podłogi i do prycy dochodziło się po deskach, bo woda zaskórnia była zamiast podłogi. Od samego wejścia uprawialiśmy trochę ekwilibristyki-ale było w tym baraku dużo przestrzeni dużo... szczurów: biegały, piszczały całą noc, ba nawet po śpiących wykonywały biegi i czasem strącały słoiki i puszki. Bo na pewnego ^{okre} poraju półkach ustawialiśmy otrzymane z kuchni słoiki czy puszki po koserwach dla... oddawania moczu. Nikt, z pośród tutaj śpiących nie wychodził w nocy z noczem, właśnie z powodu wody. Podobno, jeden z więźniów "popróbował" tego niźwyciego płynu, gdy wszedłszy do baraku z pobudką, spróbował,, z łakomstwa, płynu ze słoika, Ale to raczej taka ploteczka. Nie było tutaj pluskiew, co było też ważne. Żał mi było przyjaciół z poprzedniego baraku. Po śniadaniu przychodziłem do szefa, który spał w "kancelarii" i rozpocznieliśmy "pracę

Szef zaczynał od szachów-miał z chęcią wykonane figury szachowe i na szarym pakunkowym papierze :szachownicy. Umijetność gry w szachy była opanowana przez nas w tym samym stopniu, co bardzo podobało się szefowi. Podczas partyjki bez przerw mówił: uczył mnie jak udawać, że się pracuje, mówił mi np: "Stanisław Stanisławowicz: ^ugdy my tutaj poprawimy dach na pałacie, albo zrobiemy jakiś baraczek, to na wyższym szczeblu podadzą, że powstała nowa piękna pałata, a nim dojdzie do Moskwy, to będzie wiadomo, że powstała nowa zona, potem wiadoma w Moskwie ogłoszą, że "boszaj gorod" na siewierze został zbudowany, a nigdy mi nie mówi się o stratach, lecz zawsze o sukcesach. A normy to liczyć będzie według uznania i by nie zagłodzić biedoty. To taki jest system. Ale sam uważałem się za komunistę i uwięzienie jego za niesprawiedliwość, a oskarżałem i siebie, że wygadałem się ze swymi poglądami i nie umiałem chwalić komunistycznych działaczy.

"Wy w Polsce mieliście 35 milionów ludności, a u nas jest więcej w łagierach!"

Bezpośrednio po porcji szachów pisałem listy brygad i robiłem publiczenia procentowe normy według danych podawanych przez brygadierów, a szef robił notatki dla telefonicznej rozmowy z szefostwem naszej Komi ASRR-w dziedzinie łagierów. Gdy ja przeliczałem procenty, on mówił-lubił mówić i widać było, że to inteligent-Raz mówił mi o rodzinie:

"zdaje się, że nigdy nie wyjdę na wolność-juz mam zadatki na "dobawki". Dzisiaj szefuję-jutro będę w innym łagierze drwalem, albo będę łowił ryby i nawet normy nie odrobisz. A tam żonka tęskni za mną, albo znalazła sobie innego. i mam córkę Akkę-a nią zajmuje się teściowa z popem. O to cwana baba. Kiedy urodziła się nam dziewczyna-podałem do urzędu stanu cywilnego, że nazywa się Akka, a zrobiłem to na złość teściowej, że nie mogła jej ochrzcić, widząc, że babka gotuje się do chrztu i popa-więc mówię, że ona jest zgłoszona jako Akka. Babka podrapała się po głowie a za jakiś dzień czy dwa zabrała dziewczynę do cerkwi czy do popa-wraca uradowana-więc mówię, nic ze chrztu mojej Akki, a ona, że dziecko juz ochrzczone. Pytam: a jakie imię ma po chrzcie?-a babka: "Akka"-pop zgodził się ją tak ochrzcić" i śmieje się-No i co Stanisław Stanisławowicz? Szelma baba! Po powrocie brygad z poza żony, zjawiali się brygadjerzy i inne łagierne władze, podając dane do ustalenia norm, pogadać z szefem. Wypisywałem dane, potem wypełniałem listy i udawałem się z kawałkiem kredy na plac apelii i tam na tablicy podawałem normy brygad, nazwiska tych, którzy podpadli i wracałem do kancelarii. Czasem zachodził komandir lub bojcy-podawali polecenia i zarządzenia dla nas

Raz przyniesiono do "sklepiku" "kamwiotki", jako wyróżnienie dla wyrabiających więcej niżakazywała norma. U nas zostały do rodziaku karteczki na ze słodycze, "Szef" dał i mnie karteczkę, którą ja przekazałem przyjaciołom, tak bardzo mi życzyliwych z Nieświeża, bardzo się ucieszyli i oczywiście częstowali mnie wieczorem. To mi się tylko raz zdarzyło, że dostałem "taki prim.bluda" i nawet nie wiedziałem, że się tak premiuje przodowników pracy! Szef śmiał się, że jestem tym zaszczycony. Jednego dnia, czułem się bardzo źle więc zaproponowałem mu, by odszedł z "kancelarii" wcześniej, a ja będę czekał na telefon z centrali. Ucieszył mnie i poinformował mnie jak mam postępować po odebraniu telefonu. Zapisalem wskazówki i czekałem na telefon - był sygnał gdzieś po północy, Podnoszę słuchawkę i mówię tak jak mnie uczył "u telefona" i chcę podawać dane nasze z karteczki, ale po drugiej stronie linii telefonicznej jakaś kobieta mówi coś, czego nie odbieram, więc mówię: "u telefona" i słyszę stek przekleństw tej odbierającej rozmowę. Mówię znowu "u telefona", a wtedy słyszę bluźnierstwa i przekleństwa te damulki. Położyłem słuchawkę i czekam co dalej. Już nie telefonu nie było, ale wysiadziałem się prawie do rana, a potem zdałem sprawę szefowi! Ten roześmiał się i wcale nie martwił się tym zdarzeniem, a objaśnił, że tamta osoba z centrali to zuch baba i bładź da sobie radę i napewno się abrykowała raport z nasze zony.

Niestety nie byłem długo w tej 68 zonie, bo zostałem z Winniczkiem i Poradą przesłany do dość odległej zony. A szefa spotkałem w innej brygadzie, jako drwał i on przypomniał mi zdarzenie z telefonem.

Z moimi przyjaciółmi pracowałem znowu nad Świerczyną i robiłem napar leczniczy dla chorych na cynam. Dni płynęły nam bardzo wolno i nad trudami pracy w warunkach prymitywnych, wśród ludzi, którzy myśleli tylko nad tym by los nasz był jak najgorszy górował zał za krajem, za braćmi z Polski i obawo o los najbliższych. Nie wyobrażałem sobie mej delikatnej matki z tymi kobietami, które tylko i imienia przynależały do tej lepszej i miłszej połowy istoty ludzkich. A widziałem niejedno. Dzika miłość gdzieś pod schodami, niemal publiczna, wyśmiewanie mężczyzn w "bani", kiedy to oblewały nas ukropem i igrały z nieszczęsnych kościotrupów pokrytych skórą i niewiadomo dlaczego żyjących. Przypochlebianie się strąkom i bojcom, kucharzom i Zulikom, bezwzględny stosunek do "bladzi", bo tak tylko przezywali kobiety, Zresztą staraliśmy się nie widzieć gorzących scen, gorzących nas, którzy byliśmy zaszczytami stworzeniami.

Jakże prawdziwą była okrutna filozofia niektórych prowadzących łagiernych, wyrażana w powiedzeniu w słowach ich świata: "żyć budziesz..nonie zachocysz" To był ich świat, ale i ten im odbierano i z tym się nie godzili, a równocześnie nie nawidzili bliźnich, spokojnych, spracowanych, zniszczonymi organizmami, chorych, z obmrożeniami kończyn, trzymających się kurczowo życia,

Oczasem myślałem, że dobrze byłoby gdyby przyszła śmierć.

Siedzieliśmy obok siebie przyjaciele z Nieświeża i ja i gromadzieliśmy igliwie, patrząc jak na bardzo prymitywnej wadze niedokładnie wagę zebrane igły świerczyny i drżeliśmy nie tylko z zimna, ale i obawy czy norma jest wykonana. Tutaj poznałem polskiego lekarza, podobno pułkownika Roberta Funka, który tutaj był "wrazem", łagiernym równocześnie, który nie wiele mógł dla nas zrobić, chociaż usiłował. On chętnie z nami rozmawiał gdy tylko miał czas i możliwość. W tym obozie znowu zobaczyłem "znajomą" z pierwszych tygodni pobytu w łagierach. "Zarząd" naszej zony wiedział o czym ważnym, bo nagle kazano nam sprzątać w pałatkach, usuwać błoto z baraków, nawet kopaliśmy nowe "ubornie", a stare zasypywali i goniono nas w pracy w sposób nie normalny. Za zorganizowano "banię" i niektórzy otrzymali inne okrycia ciała, bo nasze "stroje" tutaj były w stanie godnym pozakowania.

Wreszcie zebrano nas w pałatce, każdy obok swojej nary. Blżej wejścia do pałatki stali Winniczek i Paliwoda, ja nieco dalej. Wreszcie usłyszeliśmy jakieś głosy poza pałatką, "dniwalny" wywołał nas: "wznanie, wznanie" i potem weszła grupa osób, w cywilnych i w mundurach, w walonkach, a z tyłu zobaczyłem dr Funka, naszego "komandira" i na przedzie... tą konsomółkę, którą pamiętałem z "bolnicy-chutoru w bórze", gdzie był lekarz Rosjanin mówiący po polsku.

Przypomniałem sobie imię tej konsomółki - Marusia szła w ropiętym kożuchu, w walonkach i podchodziła do każdego stojącego więźnia, a jej zlecenia zapisywano da deseczkach. Deseczki zawsze stanowiły materiał do pisania ołówkiem i po wykonaniu zapisu był on zeskrabywany kawałkiem szkła. Zauważyłem, że konsomółka pytała o coś Paliwodę, wskazując na jego przepaskę oczną, potem rzuciła jakieś zdanie do Winniczka i jeszcze minuta i znalazła się przy mnie. "Zdrów?" - spytała mnie i coś przekazała skornie, idącemu za nią "towarzyszowi" i to było wszystko - myślałem że mnie nie pamięta. Gdy już "komisja" opuściła pałatkę podszedłem do Paliwody i Winniczka ^{z zapytaniem} i coś od nich chciała - ~~zapytałem~~

Paliwoda stwierdził, że po raz pierwszy ktoś zainteresował się jego okiem, Winniczek nie miał zdania swego na temat "komisji socjalnej", bo jak mówił nie się nie zmieni w naszej dolinie, a zapewne nacisną w robocie.

Czekałem by do nas przyszedł dr Funk, a tymczasem przyszła komsomołka jeszcze raz z NKFDzistą i najpierw podeszła do jednego staryka-Rusina i chwilę z nim mówiła, potem do mnie...Zaczęła od: "my znakone i- /czy coś podobnego i wypytywała mnie o zdrowie, stosunki w zonie -jedynnje i ^{funk} mi się podoba tu na dalekiej północy. Potem coś mówiła do NKFDzisty i pożegnała mnie. A już dość późno pojawił się nasz doktor i opowiedział o "komisji", o cirkich słowach przewodniczącej komisji pod adresem całej zony. Potem dodał, że Paliwoda i ja otrzymaliśmy 7-kocioł w zakręsie posiłków, a to oznaczało, że będę otrzymywał "łobpszę" /kakaron/ na południe, bo to był 7-my kocioł i to otrzymaliśmy na życzenie komsomołki. Często stawałem czasem doktora moim makaronem, chociaż nie chciał mi zabierać przysmaku. Paliwoda często stawał też czasem Winniczka, ale on wolał kaszę, bo powarycha dodawała mu "dobarku". Opowiedziałem przyjaciółkom o pobycie tej Marusi w bolnicy, gdy ja tam byłem,

Rozstałem się z przyjaciółmi z Nieświeża, bo z grupą w której byłem i dr Funk przesunęło nas do pracy przy układaniu drogi żelaznej na słynnej wśród zakluczonych Polaków trasie Uchta -Peczora. Mie była to równina ale kraj pagórkowaty, w bliskości Uralu północnego, a więc pogranicze europejsko-azjatyckie, o wiele mówiącej Warkucie i innych miejscowościach. Oczywiście nie różniła się tutaj praca nasza od dotychczasowej. Układaliśmy progi i szyny kolejowe, to okładaliśmy darniną tory, i gdyby nie niejaki Malinowski-pomocnik masarza z Warszawy, mocny chłopak i bardzo mi życzliwy-to byłbym albo chorym, albo nigdybym normy nie wykonywał. On będąc partnerem moim niemal w połowie podtrzymywał szynę, a mnie polecał trzymać na swoim barku koniec i w ten sposób ja miałem co najwyżej trzecią część ciężaru do dzwigania a on znacznie większą "resztę". Przy pracy opowiadał mi o swej pracy w Warszawie, że nie takie ciężary się dźwigało-a dawał sobie radę zawsze i nie było mocniejszego od niego, bardzo polubiłem tego chłopaka, a i dr Funk go lubił i prosił o pomoc w swej "bolnicy". Doktor zapoznał mnie też z niejakiem Dawidowem, któremu bolszewicy amputowali ramię niemal do pachy, Usiłował uciec z wagonu w drodze do Kotłasu, postrzelono go i potem rękę amputowano

Dawidowski musiał być cwaniakiem i teraz też potrafił okpić naszych gnębicieli, "zaworować"-jak sam to określał-coś w kuchni lub magazynie, gdzie pomagał powarysze czy "magazynierce" i zawsze coś zdobywał nie tylko dla siebie ale i dla nas, Marzył o karierze szpiegowskiej, gdy będzie już w Polsce i obiecywał odpłacić się Ruskim. Ale narazie to pewnego wieczoru na naszym spacerze po zonie zaproponował ucieczkę z obozu przedewszystkim doktorowi i...mnie. Tylko o ile chodziło o mnie to twierdził że z moją lasoczką nie daleko dojdę i nie bardzo zgadzał się z Dr Funkiem, był ja mógł być współnikiem w tym planie. Tedy to ja pokazałem, obu, że mógłbym obejść się bez laseczki, bo przecież i przy pracy chodziłem przy szynach czy przy nosilkach bez laski. A ta propozycja ucieczki pojawiła się gdy opowiedziałem o natknięciu się na zabitego niedaleko naszej zony, prawdopodobnie ucieliniera, nieznanego u nas. Malinowski nie wiedział o znowie, bo był realistą i twierdził, że do Kotłasu jest więcej niż 700 km, i aby ktoś myślał o ucieczce to musi mieć siły, orientację w terenie no i coś do "zarcia", co musiało by być odkładane przez miesiące. Zaczęliśmy we trójkę odkładać z naszych porcji, Ale to okazało się, że jest bez sensu. Dawidowski lubił być "przywódcą" i on upierał się przy przeróżnych pomysłach. Funk proponował mi, że będzie nas obu uczyć angielskiego, ale tylko ja korzystałem z tej propozycji i nawet nauczyłem mnie doktor początków bez pisania. Robiliśmy to z doktorem, by ćwiczyć umysł i nie przepaść w tym świecie w walce o przetrwanie i świecie beznadziejności, Jednego dnia zjawiła się w naszej zonie grupa Układzistów i cywili i robili przegląd nas, Ani Dawidowski, ani ja nie "narawiliśmy" my się dla potrzeb przybyłych, uszedł uwagi i Malinowski, ale zabrano nam doktora! A ja, który miałem na sobie wyjęte z woreczka spodnie szwagra, dostałem propozycję od jednego z przybyłych, że zabierze mnie do "kancelarii" swojej, w ich zonie, jeśli dam mu spodnie i obiecać 7 pajek chleba w nowym miejscu, a teraz dość dobrze wyglądające bruki ciepłe, na które miałem ochotę. Obiecał, że za tydzień będą u nas znowu na werbunku, więc znajdę się w jego wspaniałej zonie i będę miał "chleba" w bród. Tak mnie gnębił i mamik, że dałem mu spodnie za dodatkową propozycję zabrania i Malinowskiego do pracy w kuchni. Oczywiście już nigdy nie zobaczyłem tego człowieka i...spodni...Byłem bardzo naiwny!

Zbliżała się wiosna, ale teraz rozkład dni i tygodni były inaczej organizowane.

Gdy przybyłem do łagierów każdego 6-tego dnia mieliśmy pół-dzienną przerwę w pracy-taki odpoczynek, potem był taki półdniowy odpoczynek co siódmy dzień i nawet to ^{nie} wole organizowano w niedziele, ale też organizowano pracę w wolne popołudnia jako dar robotników na różne okazje, a teraz spodziewaliśmy się, że tzw "sobotniki" będą częściej organizowa^{ne}. Tymczasem wiosna już się jawnie była jeszcze mrozy i opady śniegu, ale słoneczko zaczęło grzać, z pracy tracaliśmy z jakąś nadzieją w duszy, a tak się stało, że rok 1941 miał nam dać dużo radości. Już drugi raz podano z ust do ust, że pojawił się i w tej zonie spowiednik. Poprzednio ksiądz Mirtuklis /tak spowiednik-więzień z Litwy miał podobno na nazwisko/ bardzo wytrwale prowadził akcję spowiadania, a teraz był Polak, o którym tak dobrze zorganizowany wywiad czerwony nie wiedział, a ten ksiądz wnosił nadzieję w wątpiących. Znowu nieoczekiwanie przesunięto mnie do małej zony, gdzie praca była uciążliwa i nie znałem współwięźniów; albowiem było dokuczania i wyśmiewania się wzajemnego.

Był czerwiec i nagle zaczęto szeptać między więźniami, że Niemcy napadli na ZSRR-wiadomości wydawały się nie prawdziwe, bo przecież był "dogawor" między Niemcami, a czerwonymi i myśmy byli naocznym rezultatem tego porozumie^{nia}. Ponieważ znowu przetrzuccano mnie do innej zony, więc z jakąś nieuzasadnioną nadzieją, słuchałem tej "plotki" i zacząłem wierzyć, że plotka ma jakieś uzasadnienie. Raz nawet wyprowadzający nas strażak do pracy powiedział brygadierowi naszej grupy, że wojna nowa wybuchła, ale to nie wielkiego dla Sowietów. Żyliśmy więc nadzieją.

Tymczasem nazajutrz zebrano nas na apel, właśnie wypadła niedziela, więc popołudnie winno być wole^{nie}, ale rozkaz to rozkaz. Po posiłku popołudniowym powinniśmy się zająć sami swymi sprawami. Z oporem więc udaliśmy się na apel. Komandir poinformował nas, że wróg napadł na "rodin" i trzeba aby wszyscy pomogli w walce, Potrzeba będzie więcej pracować i pomagać żołnierzom, Dlatego my nie będziemy korzystać z wolnego wywalzonego przez lud pracujący i postanawiamy: w czasie wolnym od pracy, podczas "sobotników" będziemy pracować dla "rodiny" i dla siebie. Poza zoną jest ugór i my go splatujemy-zasadzimy warzywa na nasze potrzeby, a przez to dotychczasowe zjadane społeczne produkty pozostawimy dla żołnierzy, a sami się żywićmy z tego ogrodu, który od tej chwili będziemy zagospodarowywać. Aplauz, okrzyki i uchwała jednogłośnie

została wprowadzona i my brygadami udaliśmy do pracy na ugor by spantować zaniedbany obszar ziemi. Pracowaliśmy nie tylko w tą niedzielę, ale dodatkowo i w następne dni słabo-silni, chorzy i ci, którzy pracowali dotąd w zonie. Ogród był najważniejszy a sprzętani w zonie mogą robić nawet i dochodziagi, byle nieść pomoc w pokonaniu wroga. Zaczęły się ciężkie dni. Pracowali ^{dużo} ponad wyznaczony czas pracy, a "ogród" miał dać obfite zbiory warzyw! I nawet nikt nie zgłosił sprzeciwu! Tak zareagowali "zakluczeni" widząc kraj w potrzebie i harmoszka grała gdy wychodziliśmy na dodatkowe zajęcia! ot rebiata!

Ugor był okazem zaniedbania ziemi, nikt nie wierzył, że tutaj coś poza chwastami ^{nie} urodzi. Praca była katorgą. A przecież pracowaliśmy nadobowiązkowo /nikt by się nie okazał, że jest wrogiem Rodyny/, A więc zjednoczeni w obliczu walki z odwiecznym wrogiem /który w 1939 był wspaniałym sojusznikiem/Rusini wszelkiego typu, Jewrej, Polaczki, Ukraińcy, Uzbegy czy Mongołowie dążyli do zwycięstwa Stalina i NK D. A po cichu podawano wieści, że Niemcy jak burzy zbliżają się pod Moskwę, Leningrad itd i nas interesowało kiedy Germańcy zawdrzą do nas i już widzieliśmy się wolnymi!

Nie zobaczyłem wyników pracy na naszym ugorze, bo wraz z innymi Polakami byliśmy gromadzeni w dużym łagierze blisko Mieżoga,

✓ Ostatnie tygodnie pobytu w łagierach

W obozie byli nie tylko Polacy, ale nas było najwięcej. Przypadkowe zetknięcie się z inż. radiostacji lwowskiej p. Nowakowskim i spotkanie miłego mi czeladnika masarskiego Malinowskiego i innych "znajomych" Polaków było czymś wspaniałym, nie widziałem jednak p. Palivody i p. Winniczka, nie było tutaj doktora Fukka, ani innych znajomych z spotykach w różnych zonach. Każdy ze spotykanych starych i nowych znajomych opowiadał ~~o~~ fantastyczne wiadomości z wojny: Niemcy-ZSRR, że nawet najbardziej optymistycznie ustawieni nie wierzyli i ^{jednak} bali się w brygadach, pałatkach, zonach i w pracy wyraźnie wskazywał, że coś się w następnym warunkach zmieni! Do pracy musieliśmy chodzić, pilnowali nas bojcy i zawsze przy odprawie do pracy wykrzykiwali: "paniatno" po przemówieniu bojców. Było tak gdy w jednej z brygad gdy współtowarzysz Zydek pytał mnie: "co on mówi o Rózi" i gdy przemowa strzelka się kończyła on najgłośniej ryczał: "paniatno". To nawet stało się nawet dla mnie poślnym zdarzeniem.

Raz tak się zdarzyło, że już poza wrotami zony, bojec zatrzymał braga^ę i wyrokał nojego Zaka, bo już zwrócił uwagę na jego okrzyki poranne. Zaofiarował mu pracę na obejściu jego chaty u zony i polecił mu dobrać sobie drugiego robotnika.

Żydek zaproponował mnie i razem zabrala nas pani strełkowa do pracy w podwórku. Takie prace w obejściach chat strełków były zawsze lżejsze od prac w lesie i można było dostać od grazdanki kawałek chleba-więc teraz my obaj idący z "panią -grazdanką" jak mówił do tej kobiety mój towarzysz, czuliśmy fuchę lepszego gatunku. Sprzątaliśmy podwórko miotłą, tylko z nazwy przypominającą ten instrument, ~~lepką~~ były wiarygodne i one w pracy naszej, uporządkowywania obejścia spełniały swoją rolę. Bezcznie obserwowały nas dzieci-nie do nas nie mówiły mimo próby nawiązania kontaktu. W samej chacie zamiast podłogi była ubita mocno glina i posypana bałaziami kosodrzewiny i pokryta szmatami, które nie zastępowały chodników. Około południa kobieta poczęstowała nas "czajem", płynem, który nie tylko nie był herbatą, ale nie przypominał nawet tak "popularnego kipiatołu", ale kromki chleba pokrywał jakiś tłuszcz i nawet smakował niemal jak tłuszcz. A gdy zbliżał się termin powrotu brygady z lasu, kobiecina powiedziała dwa słowa "spasiba" i "charoszo"-i znowu poczęstowała "czajem" i dwoma "kartoszkami"..Gdy przyszedł po nas bojec jeszcze wstrzemięźliwiej nam powiedział: "nu da"! Ale współkolegownicy z naszej brygady, przynajmniej niektórzy, nam zazdrościli. Przypomniało mi się to zdarzenie gdy wychodząc teraz do pracy często pozostawiano po dwie osoby do pracy w obejściach i chatkach bojców. Pracowałem znowu przy poprawianiu trasy kolejowej i co było ważne widzieliśmy czasem przejeżdżający pociąg z żołnierzami jadący w kierunku Kotłasu, widać świeżo powołanymi do obrony "rodziny", Raz nawet na naszym przystanku zatrzymał się taki szajon dla zakładowania przez nas drzewa na tender, młodzi chłopcy w lichych mundurach pokrzykiwali: "pobieda" i coś tęsknie śpiewali / "jeśli zawtra wojna, jeśli zawtra wojna, my..." / NKWDziści nam towarzyszący pozwalali wtedy na zapytania, ale jadący nie chcieli z nami rozmawiać.

A życie w obozie nie było już takie ciężkie jak do tej pory-nawet delegacja z brygad rozmawiała z "zarządem" zony, szczególnie polska i obiecano nam poprawę w jedzeniu-co prawda to niczego nie zrobiono, ale rozmawiano, My zaś wiecznami toczyliśmy rozmowy o wojnie, głównie powtarzając plotki i swe nadzieje.

Bardzo często rozmawiałem z Malinowskim, który pracował w innej brygadzie, ale lubił ze mną jak mówił: - "gadać." Także zbliżyłem się do Nowakowskiego, On też był w innej brygadzie, a często widziałem go w towarzystwie Dawidowskiego, Ten os tatni umiał tak się urządzać, że miał kocioł lepszy, a roboty mało, Chodziłem od zony do zony i pytałem o dr Funka, p, Paliwołę, Winniczka, ale oni nie byli uważani za Polaków i noz dlatego nie przywieziono ich na "czwórke", ogromny kagier pod Mierzogiem, Dużo mówiliśmy o wymuszeniu na "naszych urzędnikach" najczęściej Rosjanach i Ukraińcach ustępstw w normach ogromnych i zmianach w z wianiu, bo coraz więcej było chrych i przemęczonych, a nie wspominam zagłodzonych, Stale rzucano obietnice - potem usiłowano grać na uczuciach "ku ojczyźnie", wspólnej, będącej w naprawdę trunych warunkach. Jakoś wiadomości z frontów do nas docho dziły i wiedzieliśmy, że wojska sowieckie cofają się gwałtownie.

Na przełomie lipca-sierpnia wiedzieliśmy, że na wszystkich frontach cofają się Sowieci i wiedzieliśmy, że w naszym /życiu następuje nieznaczna po prawa i wtedy w polskich brygadach, na zebraniach postanowiliśmy wystąpić z pewnymi zyczeniami. W moim baraku mnie wybrano na delegata do komandira. Wśród tych, którzy mieli rozmawiać z komandirem i jego ludzmi (obaczałem i Nowakowski go i Malinowskiego, a nie było Dawidowskiego, a i pozostli nie byli mi znani. Udaliśmy się do wartowni i tutaj czekał nas komendant zony i tylko dwóch NKWD-zistów. Usiedliśmy na ławie, a Nowakowski i jeszcze dwóch innych z pośród Polaków obok naszych przeciwników. Powiedział nam nasz komendant o wojnie i to trudnej o Niemcach i o tym, że powinniśmy nie żądać niczego, a pracować dla dobra wspól nego, bo po wygranej Polace wojnie Polska odzyska wolność i będzie pełna współ praca między naszymi "gosudaństwami". Wtedy Nowakowski wyraził prośbę, żeby nam ułatwiono przeżycie w łagierach, wojny i to jest możliwe w naszej sytuacji, gdy będziemy mieli lepsze warunki. A jeden z uczestników spotkania z naszej grupy, poprosił, żebyśmy dostawali urozmaicone posiłki i trochę odpoczynku podczas pracy, Zaintersował się tym jeden z NKWDzistów; mówili, że w takim czasie nysmy powinni nie żądać, ale zrozumieć sytuację, ale oni rozumieją nas i teraz między sobą przedyskutują wysunięte propozycje, a nazajutrz spotkamy się po wyjściu brygad do pracy, wtedy wszystko się wyjaśni - tym więcej, że Polacy nie mają dużych żądań. No i pozwolono nam wrócić do swoich brygad i opowiedzieć co postanowiono. Odeszliśmy podbudowani tym spotkaniem i rozmową.

No i po odejściu brygad do pracy/przybyliśmy do "kancelarii" wewnątrz zony. Przyszedł jeden z bojów do nas i oznajmił nam, że będziemy razem w jednym baraku i teraz należy zabrać z pałatek nasze "wieszaki". Spotkaliśmy się za parę minut i stanęliśmy na placu obok kagierniej kancelarii i w towarzystwie dwóch bojów ^{i ozekaliśmy} na komandira, wyszedł po paru minutach z uśmiechem, a za nim kilkunastu bojów otoczyło nas z karabinami-i teraz inaczej przemówił nasz komendant! Głos ostry, potępił nasze żądania, powiedział coś o wojnie i ogłosił że odsyła nas do "strafnej" zony. A więc wpadliśmy, wyszliśmy za wrota, właśnie zaczął padać deszcz z piorunami-a my w asyście bojów ruszyliśmy w kierunku lasu. Jak długo trwał nasz marsz-trudno powiedzieć! Burza szalała-w borze było ciemno, kałuże wody, rozpadliny, potkaliśmy się, a boje w milczeniu szli i tylko czasem słyszeliśmy: "po bystrej"- Straszny był ten marsz- i patrzyliśmy na siebie z rozpaczą "ktoś rzekł: "oni nas wystrzelają" Deszcz lał, kiedy pod wieczór dotarliśmy do "strafnej" zony. Ciemno w zonie, i tylko majaczyły sylwetki baraków. Przyjęły nas gwizdy i przekleństwa. To sowieccy żulicy witali nowych mieszkańców. Komandir zony w otoczeniu NKVDzistów, kazał się przygotować do przeglądu i wygłosił odpowiednie przemówienie na temat "socjalno-opastnych" wrogów narodu i że on nie pozwoli na żadne bunty, a warunki tutaj będą takie, na jakie zasłużymy. Objął nas też, żebyśmy trzymali się z dala od sąsiadów z następną pałatką i kazał uporzędkować sobie pałatkę.

Pałatka była w strasznym stanie: przez przegnity dach lała się woda do wnętrza, tak, że z trudem znaleźmy sobie miejsca do złożenia rzeczy i usuwaliśmy wodę i przegniłą trawę czy słomę, zabezpieczyliśmy jakoś wejście, bo sąsiedzi, chuligani starali się dostać do nas, a właściwie nikt nie reagował na ich zaczepki i tylko Malinowski pokazał jednemu i drugiemu pięść. Jakoś przedrzemaliśmy noc i rano kiedy inne brygady poszły do pracy, my usiłowaliśmy uporzędkować barak, poprawić dach i porozumieć się z mieszkańcami następnych baraków i "obsługą" zony, warunki w jakich tutaj płynęło życie były wprost nieludzkie-zoną rządzili "żulicy" i co najmniej połowa ich nie poszła do pracy. W kuchni był chleb i kasza i jakoś posiłki klecono. Około południa przyszedł do obozu komendant w otoczeniu strażników-oglądał co zrobiliśmy-pozwolił wziąć trochę siana czy słomę, wydał stare derki na przykrycie naszych łóżek i gdy byliśmy już w dwuszeragu-powiedział czego od nas żąda i wreszcie zapytał

czy niema między nami ^{sta, 50} "wracza"-bo gabinet lekarski jest i są leki i narzędzia, ale nie ma nikogo ktoby umiał leczyć. Pytanie zaskoczyło nas-nie było między nami lekarza-a to było w obecnych złych warunkach higienicznych i zdrowotnych, klęską. Ku mojemu zdziwieniu wyszedł z szeregu p. Nowakowski: "Ja wracz"-oznajmił. Komendant ucieszył się, a gdy jeszcze Malinowski oznajmił że w cywilu pracował jako pomoc szpitalna i może panu "doktorowi" pomagać - kazał im iść do gabinetu i przegladnąć przybory i leki, oraz zapowiedział, że wieczór rozpoczną "san-obrabortku", bo jest duzo chorych. Gdy wrócili z izby chorych nasi nowi "medycy"-dowiedzieliśmy, że poza słuchawką, jakimś watami obciążkami, maściami i flaszeczkami nic niema, Malinowski zabrał się do roboty-przygotowywał z nami wywary z igliwa, a razem z Nowakowskim robił jakoweś maści i środki przeczyszczające i obaj byli pełni siebie, wspominając dr Funka, to jeden matkę, a drugi babkę, jak one leczyły "domowymi" środkami.

Wieczorem zgłosili się chorzy, przeważnie chłigari i zadali zwolnienia od pracy. Malinowski podawał "środki" lecznicze, Nowakowski wyrwał na surowo zęba z opuchniętej szczęki, posługując się obciążkami/Malinowski chętnie trzymał mocno/ i jakoś szło. Tak, że uznano Nowakowskiego za dobrego "wracza" i proszono go o "lekarstwa" i maści. Najwięcej był zadowolony komandir-a nawet przez pewien czas przypatrzywał się badaniom i podawanym lekcom. Myśmy obawiali się o naszych przyjaciół, lecz oni sypali jakimiś imi pól kacińskimi nazwami i zmieniali kolory lekarstw. Wiam, że myśmy na to miejsce przyszli 16 lub 17 sierpnia 1941 roku i pierwsze dni porządkowaliśmy obozowisko-nawet wartownię, kataliśmy i zyskali lepszą opinię komendanta, w kilka dni od rozpoczęcia pracy przez naszych "doktorów"-omal nie wpadli. Żona strzelka miała rodzić, więc wezwano do chatki strzelka obu naszych chłopców. Wiedziałem, że Malinowski kazał nagotować wody, nabrali wody i bandaży, ^{ja} ktoś szypce termometr i co tylko Nowakowskiemu się podobało i zniknęli za wrotami zony. Nad ranem wrócili, rozpromienieni i Malinowski oznajmił: "urodziliśmy chłopca"-jakoś ten poród im się udał, opowiedali jak "nagnietli" babę, jak "płakali" ją i, a po porodzie obandarzowali chorą. Strzałok dawał do picia jakąś siwuchę, "czaj" i syci chwały wrócili jak prawdziwi bohaterzy!

Znowu musieliśmy chodzić do lasu do pracy, gdy po dwóch tygodniach przyszło polecenie byśmy wrócili na "4" to znaczy ^{do} naszej darnej zony.

Ledwie dowlekliśmy się z powrotem i gdyby nie ciekawe nowiny, to byli-
 byśmy wykończli się. Tymczasem do naszego obozu przybyło jeszcze Polaków, robo-
 ty było dużo, ale najtrój się zmienił i poprawiło wyżywienie. Mówiono, że NKWD
 ma brać Polaków do sowieckiej armii i nie wiadano jakie zająć stanowisko.
 lecz nie konkretnego nie wiedział nikt. Dawidowski, który witał nas radośnie,
 kręcił się koło "władz"-przedsztawiając się, że w polskim wojsku był pułkowni-
 kiem i tłumaczem ruskim, jak on by obrał taktykę w walce z Niemcami. Mówił nam,
 że Niemcy weszli głęboko na sowieckie terytorium i ^{że} wole "wszyscy oczekali raczej
 na coś nieoczekiwanego, tym więcej, że stosunek bojów do "zakluczonych" stał
 nieco inny i bardziej pozytywny, Spodziewano się jakiejś "komisji", a brygady
 ni/polskie dziwiły się, że tak się gotuje dużo zmian. Oczywiście niektóre
 plotki wydawały się nam nieprawdziwe, ale bodaj trochę oddechu zkapaliśmy.

Znowu nadszedł wrzesień. wieczorem pierwszego-po powrocie z pracy nad
 umacnianiem torów kolejowych i po bardzo skromnym posiłku /podawano od pewne-
 go czasu "hałaszkę" tzn rzekomo kluski, a w rzeczywistości wodę zasypaną ma-
 ką dość grubą, /zauwazyliśmy, że po naszej zoni, kręci się dużo NKWDzistów
 .Podeszliśmy więc pod mały baraczek, w którym mieściła się "kancelaria" zo-
 zy i zerknąłem przez małeńkie okienko do środka. Na grubo ociosanym stole le-
 żały teczki w stosikach. Popatrzyłem na te teczki i na pierwszej z brzegu wy-
 czytałem : "Stanisław Stanisławowicz Lasóckij!" -zrobiło mi się gorąco. Ponieważ
 był ze mną Malinowski, więc pokazuję mu napis i mówię, że gotuje mi się wyjazd
 Pocięszkał mnie, że to może nie poważnego, a jeśli będzie wymarsz lub wyjazd
 to może i on ze mną pojedzie. A ponieważ należałem do grupy słabo-silnych, a
 równocześnie przypominałem sobie, to o czym ostatnio opowiadano w obozie, że
 staryków, słabo-silnych i chorych ładują na barki, wywożą na morze i topią
 wraz z barkami. Czy to było tak jak podawano, tego nie wiedziałem na pewno,
 ale interesowanie się "władz" sowieckich więźniami, nigdy dobrzym nie było.

Denerwowałem się bardzo, a Malinowski innym mówił o teczkach i wiele
 osób oglądało teczki przez okienko baraczku i ze współczuciem mówiło ze mną.
 Rano normalna pobudka i zbiórka na placu zbiórek. Niektóre brygady odchodziły
 do pracy jak codzień, ale wielu wyczytanych z różnych brygad zatrzymano. Było
 nas w podlizu "kancelarii" dość dużo, a między innymi i Malinowski oraz Da-
 widowski, wszyscy zatrzymani byli Polakami.

Wreszcie wyszedł z "kancelarii" komandir w otoczeniu bojców i nieznanym NKWDzistów i jeden z nich zaczął przemawiać do nas. Treścią była wojna z Niemcami, potrzeba żołnierzy, wysiłku itp, a wreszcie bomba. /zdarło mi się, że nie zrozumiałem mówcy/: Generalissimus Staliń zawarł z generałem polskim z Londyńskiego Rządu grażdaninem Sikorskim "dogawor" o amnestii dla "zakluczonych w łagierach Polaków" i Polacy będą mogli opuścić łagier i walczyć z Niemcami albo w armii ZSRR, albo w armii polskiej, która już się organizuje, a my będziemy zgłaszać się teraz do Sił Zbrojnych. Zapadło milczenie i Rosjanie weszli do baraczk i za chwile wyszedł bojce z kilkoma teczkami i odczytując nazwiska poprosił wyjątkowo uprzejmie wywołanych do środka baraczk. Nie było mnie między wywołanymi ani w tej grupie, ani w kilku następnych, Aż wreszcie usłyszałem i swoje nazwisko i Dawidowskiego. Za stołem siedziało kilku żołnierzy, był i komendant i pierwszą został wezwany Dawidowski, a do trzeciego z kolei NKWDzisty - ja. Zapytał czy chcę do armii rosyjskiej czy polskiej, pytał o zawód i stopień wojskowy. Nie służyłem w wojsku - więc podałem, że miałem kategorię "C" - odpowiedzi moje notowali do teczki i wtedy usłyszałem Dawidowskiego jak mówił, że był pułkownikiem /nieprawda/, więc dalej go o coś pytano, a i następni przesłuchiwani też odpowiadali i potem kazano nam wyjść i nas kilku przesunęto do grupy przebadanej, a jednego do małej grupy, Ta mała grupa to zgłaszający się do sowieckiej armii. Tak przedemerwowani, podnieceni, bezwładnie mówiliśmy do siebie i pytaliśmy stojącego z nami bojca z karabinem o szczegóły, ale on sam niewiele wiedział i wyglądał na zaskoczonoego. Już w tym dniu nie pracowaliśmy, a kazano nam przenieść swoje rzeczy do innego baraku i tam poczekać na dalsze polecenia, Udałem się do pewnego ruskiego popa, który mieszkał uprzednio ze mną i mówił co zaszło! Pokiwał głową ze smutkiem i pocieszał mnie że może nie zaraz nas ubiją, ale że nic dobrego z tego nie będzie, bo on już widział nie jedno i NKWD nigdy nikogo nie wypuści.

A pod wieczór "bania", kobiety nas polewały wrzaskiem i dawały koszyki zgrzebne, a odbierały stare, w nocy, która nastąpiła po tym emocjonalnym dniu nie mogłem spać, ale nie tylko ja - inni też. Myślałem o bliskich - gdzie oni są i czy też będą amnestionowani! mama, brat, siostra i nie wiedziałem co z nimi! Jak w kalejdoskopie przesuwają się obrazy z wizji, z różnych łagierów - ciężkie chwile i trudne, kiedy to nie mogłem pracować, a musiałem, byłem chory a

musiałem brodzić w lodowatej wodzie-uganiać się z psami, to z ludźmi bezwzględny, z żulikami, z zdeprawowanymi ludźmi lub biednymi, i ten system piakielny i opętany tym systemem ludźmi. A byli przyjaźni też i nawet wspaniali-ot polsko-białoruski chłop i adwokat z Nieświeża i robotnik z Ukrainy i tyle załamali się i niewiary w sprawiedliwość i dobro! A teraz miałem opuścić łagier dzięki temu, że tam w Londynie myślnano o nas i równocześnie tylu ludzi zginęło w łodach Północy, w pracy nad siły....

Rano ustawiano nas w grupy. Kierującym naszą grupą był Dawidowski, który potrafił przekonać "władze" łagieru o swej wartości i teraz jedną swą ręką gładził brodę, wydawał polecenia-znosił się z sowietami.

Otworzono nam bramy-żegnały nas tłumy, narazie czekające na ich zwolnienia i niedowierzające temu co następowało. Z nami szli do przystanku bojcy, a myśmy... śpiewali i byli przepięknie radości.

Przystanek i towarowy pociąg, dla nas podstawiony, Jeszcze ładowaliśmy na tender drzewo i mościli jedliną podłogi wagonów, by przygotować jak najlepiej swe miejsca. Beczki z wodą-rozdawnictwo chleba i "sielotku"-

Pogoda była łaskawą dla nas, Siedziałem z Malinowskim i w naszym wagonie rezerwował sobie miejsce Dawidowski, Nie było maszynisty kolejowego z prawdziwego zdarzenia, więc miał nasz pociąg poprowadzić jakiś palacz i jakiś ślusarz-obaj Polacy. Wreszcie sygnały i ..kierunek Kotłas... nasz pierwszy punkt przesyłkowy na Północ do tej Komi ASRR, krainy beznadziejności. Śpiewano-drzwi wagonu otwarte-niektórzy się modlili, a my byliśmy ..wolnymi.

VI Wojsko polskie.

Jeszcze wiele musieliśmy przeżyć w tym kraju koszmaru i, ,,piękna kraj-obrazów, zakłamania i ręki i naturalnego bogactwa, zło wykorzystywanego.

Jechaliśmy na południowy-zachód i był ktoś, kto wiedział, że jedziemy i myślał o nas, bo przecież zatrzymywano nas na przystankach dla mijania pociągów jadących w kierunku przeciwnym, dla dostarczania paliwa, wody. Na przystankach nędzni zawiadowcy, ,,byli jak ubrani i pustka dokoła, Wreszcie Kotłas!

Znowu bojcy, NK "Dziści, kominy zakładów, kontrole i wykładunek obojętnego Kotłaskiego "dworca" w dużym parczku. W pobliżu podobno stołwka. Wydano nam w miejscu zwolnienia jakieś "czterwieńce"-monety i teraz po usłyszeniu, że jest obok "stołowa" robotnicza idziemy z Malinowskim

na "zwiady". Z za płotu drewnianego wychdzą dwaj NKWD-ziści - ~~miu~~ ^{miu} ~~nowoli~~ ^{nowoli} chodzący się za deski płotu-zapominamy, że jesteścmy wolni! Dochodzimy do "stołówki". Zapach kapusty! - co za rozkosz. Duży barak, czysty, przy długich stołach siedzą zmęczeni robotnicy, obojętnie spoglądają na nas - nikt o nic nie pyta. A kapuś-niaczek pachnie. W końcu podchodzimy do okienka, gdzie wydają na miseczkach zupę. Można wykupić bułeczki - kładziemy pieniądze i otrzymujemy resztę: ruble i kopiejki, a potem zupę i po kawałku ciemnego chleba. Zjadamy zupę z przyjemnością. Ściąg-inna niż rybna czy z kaszą, ale i tu gonią się ~~podzisz~~ ^{podzisz} liścieczki kapusty. A naszym czasowym miejscem oczekiwania na następny pociąg, wydawano właśnie suchary i "kipiatki". Ważne jest to, że tutaj o nas wiedzą. Podchodzą kobiety i któreś zapytuje o bagaże, ale spogląda nieufnie dokoła - popełnia przestępstwo - nie wolno z nami mówić. Tak było całą naszą długą podróż, aż na południowy Ural - tak było na stacjach, gdzie czekaliśmy i cieciliśmy z ludźmi porozmawiać. Zawsze ktoś "czuwał" nad ~~nas~~ ^{nas} i ludzie ~~woleli~~ ^{woleli} nic nie mówić - a nadzieję widać było na każdym niemal miejscu. Jechaliśmy teraz pod "opieką", wolno nam było rozmawiać z pasażerami pociągów, które wiozły "amnestiowanych" - wywołaliśmy nazwiska swoich i pytali skąd i dokąd wędrują, bo nie wszyscy jechali "do wojska", jechali na "wybrane" miejsca, kołchozy i wogóle nie wiadano o tworzeniu się polskich oddziałów, ^Workim czy w ^Kirowie rozmawiałem z młodą dziewczyną, która zetknęła się z moją matką. Matkę skierowano gdzieś do kołchozu. My "gnieździliśmy" się w wagonach osobowych i mieliścmy kłopoty ze spaniem w wagonach, często zdarzało się, że ktoś ginął z pociąg^u i jakoś do nas docierał - często składaliśmy się na zakup gazety, by coś dowiedzieć się o wojnie lub o polskich oddziałach. Pod ~~orkim~~ ^{orkim} pożary i słychać było armaty, wreszcie Penza, Samara - a więc południe olbrzymiego kraju - wszędzie bieda, to eszakony z marnymi, to z ^{wojskiem} i znowu "byli" więźniami Polacy.

Posiłki otrzymywaliśmy, ale ~~skape~~ ^{skape} - zaczęły się jakieś handle, wymiany naszych starych kaszków z tubylcami - Mieliścmy już dość jazdy.

I wreszcie ~~Buzukiki~~ ^{Buzukiki} Mała stacja kolejowa, a obok na małym budynku kiało-czerwona flaga, a przed budynkiem żołnierz z opaską biało-czerwoną i polskim ^{oriskiem} ~~wojskiem~~. Przeszczeliścmy jak opętani: jest polskie wojsko. Są cuda na świecie, a żołnierz przed budynkiem zawiadamia nas, że jedziemy do Tockoje i tam nas wyładują i zorganizują w oddziały wojskowe. Radość szalona!

wreszcie mała stacyjka: "Tockoje"

Wykładunek, sz polscy żołnierze-jakiś porucznik nas segreguje, sprawdza dokumentację i w końcu naszerujemy. Długo i wreszcie na dużej łódce w lesie w grupach leżymy, by nazajutrz atakować w dwuszerogach w kompaniach i batalionie. W naszej grupie dowódcą jest por. Sikora, ale brak podoficerów i powstaje bałagan w marszu do letniego obozu w lesie, przeznaczonych na letnie obozowiska ćwiczeniowe dla piechoty rosyjskiej. Umieszczają nas pod namiotami-jest kuchnia polowa, jakieś baraczkі, alejki i plac. Zbiórka-Dostajemy posiłki / 1000 /
Bagniany kociołek bardzo się znowu przydaje, -sprzątamy, pierwsza gimnastyka pierwsze wykłady. Coś się dzieje-czuję, że jestem w wojsku. Stajemy na zbiorce, by poznać naszego dowódcę majora i wogóle zapozajemy się z regulaminem, ale tkwimy w naszych "łachach" więziennych i cieszymy się powrotem do życia w polskich oddziałach!

Nie będę mówił o wojsku i życiu rekrutów, ale chcę mówić o szarych dniach życia w ZSRR i spostrzeżeniach,

Z trudem rosła polska armia w ZSRR-ta armia, która dowodzoną była przez gen Andersa. Warunki bytowe bardzo trudne-nie byliśmy umundurowani, a gdy otrzymaliśmy mundury, to o jakiej kolorystyce, o jakim stylu: Pamiętam, że otrzymałem jakiś mundur estoński, potem solidna "wateria" bryuki i płaszcz amerykański z poprzedniej wojny. Wyżywienie słabe, nieregularne rozdawnictwo chleba-pszeno jako zasadniczy posiłek-a więc poszukiwaliśmy jedzenia. Nasz żołd był minimalny, więc kombinowano z ludnością, nie tylko Uralu, ale rozpoczęły się wędrowniki po kolchozach i sowchozach-wielu spryciarzy związało z wojska bo podobały im się spekulacyjne wędrowniki po kraju, Stale zmieniały się nazwy pułków, batalionów i kompanii, ale ja nie wiedziałem dlaczego i z jakiego powodu. Sam z własnej inicjatywy wieczorami chodziłem do punktu rosyjskiego, gdzie odbierano nagrania radiowe a więc dzienniki radiowe bardzo tendencyjne i wybierałem pewne przekazy dla najpierw: drużyny naszej, plutonu, dla kompanii i dla kadry-nawet dla naszego majora. Pisałem i wygłaszałem pogadanki dla rekrutów za wiedzą i zgodą władz, pisaliśmy ścienną gazetkę: "Echo namiotów", ba polecono mi w dniu 24 grudnia 1941 roku wygłosić przemówienie w świetlicy -baraczkę nieogrzewaną przemówienie do żołnierzy, poprzedzające niezbyt udany wieczór świetlicowy z okazji Świąt Bożego Narodzenia.

Jeździliśmy po wyznaczonym odcinku kraju przez Samarkandę, ^aKgan, Karakul i wszędzie spotykaliśmy Polaków. Jedna Polka zatrzymała mnie na drodze i ze wzruszeniem powiedziała: "znowu widzę polskiego orszeka na czapeczce, co za szczęście, tylko to nie polski mundur i te "lwy" na guzikach, ale tak się cieszą ogromnie-tutaj tylko o was mówią". Dowiedziałem się, że warunki życiowe polskich przesiedleńców są fatalne, że władzę sowieckie traktują ich jak najeźdźców, a Uzbęcy tylko tolerują. Istniejąca na tym terenie polska placówka opieki nie spełnia swych obowiązków i stąd nienawiść między Polakami, że młodzież chciałyby znaleźć się w szeregach tworzonego Korpusu, a bezdomne dzieci polskie walczą się i chuliganią. Niektórzy chłopcy szkają polskich junackich szkół gdzieś w pobliżu Jangi-Julu lub w post z domów czy domów rzekomej opieki uciekają do oddziałów polskiego wojska i tam znajdują przystań. Dlatego pomyślałem jak ważną rolę może nasz Korpus odegrać w stosunku do cywilnej ludności jak i dzieci czy młodzieży. Wiedzieliśmy, że gen. Anders nie dotrzymuje umowy co do ilości żołnierzy w oddziałach tworzącej się armii i nie tylko tamewolnie, powiększa ilość żołnierzy, ale zajmuje się i cywilną ludnością, i przede wszystkim dziećmi. Utratował wiele istnień ludzkich, a potem wywiózł i nie narzekał na skromne porcje żywienia, bo powinniśmy się dzielić z niefortunnymi. Widziałem czajchany, gdzie Uzbęcy palili fajki i pili naniastkę herbaty. Spróbowaliśmy szaszłyku, tego w owym czasie i na tym terenie smakołyku i próbowaliśmy nawiązać kontakt z ludnością miejscową, ale nie zawsze to się udawało, sprzedawano nam placki na kamińniach przy drogach pieczone ale widzieliśmy niemy wyrzut w ich oczach-który rozumiałem. A do "komisji" poborowej naszej zgłaszali się nie zbyt pożądana pobratymcy, o których informowano nas jako słomce wrogim nam w przeszłości.

A po wędrowce pociągami czy arbami, po kartkach san-obróbki, bez których nie wolno było nawet nam jeździć, po wędrowkach w czerwonych ubogach, widząc nędzę mieszkańców ZSRR, niechęć do NKWD i obawę, a nawet radość z powodu zwycięstw Niemców-coraż dobitniej rozumiałem, że tylko terror i więzienie trzyma przy systemie komunistycznym tych ludzi. Zwrócił mi uwagę nasz lekarz naszej komisji na zboże nie żęte, a przecież to był luty! Bez-chołowie, nędza, brud, niedożywienie, łachy to się narzucało wszędzie,

potem kontumacja na cmentarzu mahometańskim w Guzarze, organizowanie podchorążówki/była jej elewen/ i szersze możliwości poznawania ludzi, transporty przez Murmańską, broni, pomocy wszelkiego rodzaju, z trudem dostarczane przez alianców. ZSRR to kołoz na glinianych nogach, źle kierowany i jeśli by alianci nie dawali tak znacznej pomocy, to Sowieci musieli przegrać, ważny był też stosunek Niemców do ludzi na terenach, na których się znaleźli. Ciągłe wywoływano "wartę pod broń" w naszych szkolnych kompaniach, bo więziono zwłoki wielu polskich ludzi, gnębionych tyfusami, czerwonką i innymi chorobami. Nieraz było tak, że w nocy przywożono chleb i natychmiast rozdawano między namiotami, a myśmy zjadali porcje natychmiast bez względu na porę, a ilu z naszych szkolnych kompanii odsyłano do szpitali wojskowych!

Aż przyszła wspaniała sprawa: Pewnej nocy, podczas ulewnego deszczu nasza kompanie udały się na dworzec kolejowy w Guzarze-tutaj zastaliśmy luksusowy pociąg -kaźnię, przeprowadzono przez obsadę tej "kaźni" -kapiel, odczyszczenie nas i naszych nowych mundurów od różnych insektów, badania lekarskie, dano nam napić się prawdziwej herbaty i dniu następnym pociąg wojskowy wiozł nas do Krasnowodzka, portu nad Kaspijskim morzem, załadowanie na tankowiec "Agamaly-Ugaly" i w warunkach urągających wszelkim warunkom higienicznym i wyżywieniowym, przetransportowano nas do Pahlewi-portu na Irańskim wybrzeżu. Nasz statek -zarazę, bo tylko to można było powiedzieć, nie chciano wpuścić do portu, ale wreszcie wpuszczono nas dla ponownego sanitarnego odczyszczenia, spalaniu naszych mundurów, a otrzymaniu nowych i odżywieniu nas już z kuchni wojskowej angielskiej.

Zegaliśmy Rosję-kraj zakłamania i nędzy z radością, by na Środkowym Wschodzie wędrować i zaprawiać się do walki.

Nie wiedzieliśmy że czeka nas po kilku latach ponowne spotkanie z tym samym ustrojem... *w kraju ajeryskim.*

VII Jeszcze o sowieckiej przemocy.

P.Janka K., moja żona od połowy 1946, -była w 1959 roku nauczycielką na Wołyniu w powiecie Zdołbunowskim-miała tam mieszkanie w szkolnym budynku, stołowała się u Rusinki, lubiła nauczanie i ruskie dzieci, starając się dobrze je uczyć i wychowywać, dawała z siebie bardzo wiele i doceniały to matki

dzieci polskie władze szkolne, dzieci i p. Janka miała swego chłopca, inżyniera z tego powiatu, ale tak jak i ona była ^z z Wisły, bo gziś z Wielkopolski, a ona z miasteczka pod Krakowem. Zabezpieczyła swe rzeczy i z początkiem lipca wyjechała do matki i rodziny. Wojna zastała ją u matki - a ponieważ jak większość Polaków wierzyła, że wojna skończy sukcesem naszym, więc wyjechała na Wołyń. Nie dotarła do swej szkoły, a ponieważ Niemcy szli na wschód znalazła czasowe miejsce pobytu w Złoczowie, u kuzynki. Tymczasem weszli Sowieci do wschodniej części kraju, Janka udała się do szkoły w zdalebunowskim powiecie, ale nie było mowy o nauce, ani o rzeczach, zdeponowanych u Ukraińców /tak kazali się zwać mieszkańcy "jej" wioski/. Nie było rzeczy, rowerów, kilimków, nie było przyjaznych matek i dzieci i nie było inżyniera - narzeczonego, a zapowiadało się wszystko bardzo źle, więc powróciła do Złoczowa do kuzynki, gdzie ukrywał się ^{już} stryj Szczepan - oficer Wojska Polskiego. Kończyła się jesień, warunki żywnościowe i ludzkie stawały bardzo trudne, aże właśnie przyszły wieści, że przez nowy punkt graniczny w Przemyślu można przejść bez przeszkód do t. zw. "G-G". Janka ze stryjem postarali się o przepustki wydawane w Lwowie przez przedstawiciela Niemców i z swymi rzeczami udali się do Przemyśla. Nikt nie respektował żadnych przepustek, ale ludzie wbród przez San robili wędrowniki nocą, czasem pod "opieką" przewodnika, który ręczył za bezpieczną przejści do "G-G". Zimna woda, strzały nad rzeką, ujadania psów, ale grupa usiłująca przejść za San, /mając "przepustki"/ odważnie maszerowała, i zamiast na "drugą" stronę rzeki doprowadzona została do klasztoru, gdzie Janka ze stryjem schowali swe rzeczy, swój dobytek u dozorcę, a w chwilę później cała grupa była już w rękach NKWD - którą tymczasowo zaknięto - klasztorze, wówczas już "turytma" sowiecka, setki ludzi i rano "badania" - krótką i szybką decyzją "pod scienku"! Ustawiono pod murem i ~~xxx~~ nad rowem /dla postrachu/ delikwentów i wytrzymałszy ~~ich~~ czasowo na ~~niemu~~ - zapędzono do cel klasztornych, teraz już więziennych. Zaocznie skazani po pewnym czasie pobytu w koszmarnych warunkach /zimno i głód, oraz straszenie słowami - "pajdziocie pod scienku"/ - a potem wyrok: łagery w Karelo-fińskiej republice z możliwościami naprawy ^{swe} winy /! przy dobrej pracy i bezwzględnym posłuszeństwie. Wyjazd w głąb tego nieznanego kraju, na nieznaną pracę. Janka i jej stryj mieli szczęście, że byli do przekroczenia dawnej granicy polskiej, razem - pocieszili się wzajemnie, kłudzili, że są więźni bezprawnie, bo mieli przepustki. Próby tłumaczenia czegokolwiek - wywoływały nęchot i wiskany ucisk.

Na terenie ZSRP-rozdzielono ich, Janka znalazła się w sytuacji, że nie miała z sobą nic i tylko grzała się tułąc do różnych kobiet-Zakluczonych!

Stało się tak iże w przeszykowanym łagierze znaleźli się wzajemnie, ale Kpt. stryj Janki był ciężko chory na czerwone i przez żydów tej pałatki, w której został umieszczony, został wyrzucony na śnieg bez litości i tylko z powiedzeniem: "śmierdzisz". Właśnie Janka dotarła do pałatki, z której został wyrzucony jej stryj i za radą jednej z więźniarek /córa Koryntu/ pobięła do zarządzającego zoną. Oczywiście rada była złośliwa i nikt nie wierzył, by Janka dotarła do "komandira"-stało się jednak inaczej. Zarządzający /poski Ukrai- niec/ wysłuchał ją, obiecał pomoc i zrobił co obiecał. Stryj Janki przeniesiono do baraku-"bolnicy" i nawet lekarz-więzień usiłował go leczyć.

Ten niecodzienny wypadek podniósł w oczach "szalaszów" /nierządnic/ Jankę przez pewien czas starały się jej pomagać-Zresztą pomocy udzielały Janki w więzieniu także tego typu dziewczęta. Wtedy to Janki udało się uniknąć przy "obisku" konfiskaty i miała z sobą zegareczek-rzecz najcenniejszą w więzieniu-A słychać już było z korytarza głosy, takie, jakie zawsze słysze- li więźniowie: "pa bystrej". Wtedy pomyślano na gwałt o zegareczku. Dziewczęta ugniotły kawałeczki mydła, zawsze znajdujące się na oknie, potrzebne na jakieś umycie się gdy pędzono do "ubornej" /ustęp więzienny/gdzie więźniowie zadowolili równocześnie swe fizjologiczne potrzeby i przy odrobinie szczęścia można się bodaj umyć i pokryć tym mydłem zegareczek, kładąc go obok innych kawałków mydła..Potem w szeregu na korytarzu odbywała się "prowierka" to znaczy poszukiwanie "dziennych skarbów" w sukienkach czy koszulkach i nawet od- bytnicy. A w tym czasie dokonywano też przeglądu cel. W chwilę później przed szeregiem stanął strażnik i rzucił pytanie: "kto spriatak czasu w myle?/kto zagryniotk zegarek w mydle?/-Milczenie i bardziej ostre pytanie tej samej treści. Janka drżała, ale wystąpiła, bo miała nadzieję, że gdy się przyzna dostanie potwierdzenie zatrzymania zegarka, by odebrać go przy otrzymaniu zwolnienia z więzienia czy obozu karnego. Wszelkie wydano potwierdzenia, ale nigdy nie otrzymała zwrotu zatrzymanych rzeczy. Zresztą do wyjątków należały zwroty kosztowności, przy zwolnieniu po odbyciu kary, znanym bardzo nielicznym przypadkiem takiego postępowania. W każdej niemal celi były "wtyczki" przynoszące wiadomości z celi do "władz" więziennych.

w drodze do Karelii były pobyty w różnych łagierach. Jania poznała między innymi p. Marię N., romanistkę z Poznania, z którą zaprzyjaźniła się i razem pracowały - jadły z tej samej miseczki, dzieliły się udanymi zdobyczami dodatkowej zupy z obierzyn i ziemniaków, - razem przebyły znaczną część drogi i czasu, do miejsca wyznaczonego. Jania mówiła, że w pełnym przejściowym okresie odbyła drogę w kibitce z 9 ciu mężczyznami, a w różnego rodzaju kolejkach z żydówkami, kobietami ruskimi i uzbeczkami i pamiętała jak karmiono ich je słonymi "sielotkami" /słedziami / i niewydano wody. A gdy pociąg stał na przystanku, wniesiono wodę wrzącą, więc pić było niepodobieństwem, a za kilka minut gdy woda stała się nieco chłodniejsza, wszedł do wagonu strażak i wyjął wodę, naigrzając się ze spragnionych. Na tym przystanku - podróżni tamtejsi pytali strażka, kto jedzie w eszaku więziennym wyjaśnił krótko: "Bładzie" /córki Koryntu/ i użył takich słów, że trudno było znieść te przekleństwa.

Z p. Marią chodziły do pracy w lesie, potem - razem były w pralni łagieru - gdzie musiały pracować więzienne łachy dla kobiet i mężczyzn. Łatały bieliznę i szwy zasypywały proszkiem przeciw insektom, które trzymały się tej "bielizny", które były w włosach i "kapały" wprost na twarze śpiących pluskwy, a później na północy dokuczały im szczury, stanowiące plagę większości łagierów. Raz wracając z pralni późną nocą, pomyliła barak /uciekając przed chuliganem /żulio"/ i wpadła do baraku gdzie siedzieli Gruzini czy Kirgizi i palili fajki na długich cybuchach /może to były jakieś narkotyki, bo dziwny szedł zapach/, ale ci nie zareagowali na wejście intruza /na szczęście, bo spotkanie z z mężczyznami często kończyło się źle a nikt takimi sprawami nikt się nie przejmował, bo nawet ci, którzy czuwaliby nad życiem i ludźmi sami wykorzystywali dziewczęta niemal publicznie, Ale to było tak powszedniem, że wywoływało odzwyczajenie,

1
2
Często wzajemnie się zżyły przyjaciółki, a ponadto Jania myślała i o stryju, gdy zdarzało się, że przebywali w tej samej zonie. Pewnego razu zaczepił Jankę żołnierz w pralni, ale poprosił tylko by mu wyprała koszulkę i gdy mu ją zwracała dał jej w podziękowanie upieczoną 4 ćwiartki ziemniaka. Parzyła się przerzucając z ręki do ręki dar otrzymany i popędziła do namiotu stryja. On wprost poknął gorące ziemniaki i wtedy zapytał czy sama jadła. Tak był głodny, że nawet z łupą jadał.

w jednym z łagierów, jeszcze przed przyjazdem do Karelo-fińskiej republiki musiały pracować w lesie. Po wyrębie, wykonywanym przez więźniów tej samej zony, musiały przenosić pnie, sortować je i układać, była to jak dla kobiet, które słabe fizycznie i nie przyzwyczajone do fizycznej pracy/nauzaczalności/, nigdy normy wykonać nie mogły i stąd głolowały i chorowały, a Janina modliła się tylko, by mogła ^{re}postać w szpitaliku. Lekarka-więzień także, czuła litość nad koleżanką niedoli, bo starała się leczyć chorą w miarę znajomości choroby i posiadanych leków, zresztą mało wartościowych. Ponieważ gruczły chłonne Janiny były powiększone i twarz opuchnięta, felczer pracujący z litością, lekarkę robił tzw. "okoły", wbijał twarde szpile wołók naciętków, podawał jakiś mętny płyn pod skórę i do picia, wszędzie stosowany wywar z igliwia. Równocześnie nasza chora miała oczy mocno zaczerwienione i nie mogła patrzeć, łagierne towarzyszkę oświadczyły że ma "złotołuchę" i musi oślepnąć. A robiło się coraz zimniej i Janina nie miała na nogi nic poza kaptami z łyka, owinięta szmatami, które stryj przy jednym z spotkań podarował jej, /naprawdę to były przydziałowe jego kałesony więziennicze, które podarły się, a nie było nowego terminu przydziału/ Gdy poczuła się nieco lepiej postanowiła wyprać szmaty i koszulę - robiła to i na noc powiesiła poza barakiem, by wyschły. Oczywiście zniknęły, jak wszystko, co poza pałatką ktoś ośmielił się pozostawić.

Ale i pobyt w tej "łagiernej" bolnicy "skończył się i chora wróciła do baraku, gdzie filolok z Poznania już jeszcze przebywała i to była jedyna pociecha, bo p. Maria była silną i podtrzymywała powracającą do zdrowia na duchu. Wtedy to Janina otrzymała w ostatnim dniu pobytu w "bolnicy", paczkę od kuzynki ze Złoczowa, napisany przez Janinę list z określeniem miejsca pobytu i przynależności do łagieru, dostała kuzynka i pozwolono jej wysłać paczkę do kuzynki ze ściśle określoną zawartością i ta paczka wydarła się cudem /zawartość: kawałek słoniny, cebula, czosnek, szmatki, kilimek, który służył Jani jako okrycie w czasie snu, igłę i nici i parę landrynek/ Oczywiście musiała się podzielić z dyżurną sowieciką i ta nie przeczytała

listu od kuzynki, która była właśnie w Grodnie na posadzie i pisała o strasznych stosunkach pod czerwoną okupacją, a za taki list mogła nie tylko stracić posadę, ale znaleźć się w łagierze, jako socjalnie opastny element.

Szaleńki wyglądały okropnie i były bezzwzględne-myślały tylko o sobie i o je-
dzeniu. Mówiły: "wy jesteście czesne Polki, ale musicie mieć "murzyków", bo podoch-
niecie z głodu. I one też mówiły o tym Stalinowskim głodzie i uważały, że to
jest naturalne, bo komunizm to jest przyszłość świata i nie wierzyły, że w Polsce
było dobrze.

Jani udało się nie spodziewanie dostać do pracy w kuchni do zmywania
naczyni i szorowania kotłów. Nie jeden raz można było coś zjeść, ale zależało
to od kuchennej. Raz Jania wykrobała kociok po cięci na "lepszy" i nawet
dość dużą kulkę ciasta ugniotła i schowała między koszulą i blazą, by potem dać
Kolezance, a ona to ciasto mogłaby sobie zagotować w łazie, bo miała dobry ko-
ciok. "Sowółka" "powarycha" sprawdziła wykonaną pracę i pozwoliła pójść do
ustępu. Jania chciała zanieść ciasto do baraku. Po powrocie Sowółka zatrzyma-
ła ją i zażądała... zwrotu "ukradzionego" ciasta. Ani prośby, ani płacz nie przy-
dały się na nic i Jania musiała przynieść "wyskrobane ciasto", kuchenna ode-
brała je i rzuciła na ziemię, podoptała i rzuciła do kątka na ścieci. Takich
przykładów bezlitosnego postępowania można przytaczać wiele.

Ale jeden mały chłopak, też kaziarnik, wykorzystał okazję i wyniósł
pełne wiaderko "lepszy" poza barak kuchenny. Po pracy zjadł bardzo dużo i dziw,
że nie zachorował, dał Jani i nałożył jeszcze tego makaronu do dobrze wymytego
kuchennego słoika i zniesiono to dziewczynie Jóni, która ukryła bezcenny dar
na górnej narze i gdy zapadła już nocna cięża-obróciwszy się na bok do ścia-
ny zjadła, a potem chorowała,

Gdy potem udało się i p. Marii dostać do kuchni-^{Wt} wtedy znalazł miłego
Polaka, który podobno był z rodziny hrabiowskiej, jak prosili tych, którzy nie jedli
wnętrznosci i oczek "kilki", bo brzydząli się tymi rybkami, o "flaki rybne", które
ny był, a niektórzy robili sobie z tego zabawę i "obrzydzali słownie" darowywane
wnętrznosci rybne. Człowiek ten zmarł i wrzucony został do wspólnego nie zasypa-
nego wspólnego rowu tuż za zoną. Zre-^{zta} kła w różny sposób grzebano zmarłych
a pochówek nie stanowił jakiegóś istotnej sprawy, stryj Jani mówił bratanicy o
wywożeniu b. żołnierzy i nikt nie wiedział jaki ich był dalszy los-nikt nie wie-
dział co się z nimi działo, Jeden ze starych Żydów jeszcze gdy byli we wspólnej
celi klasztornej, gdy kogoś zabierano, mówił krótko: "No i kapu!" i wierzył w
rozstrzeliwanie-Sowieci zawsze załatwiali więźniów słowem: "podochniesz", a wielu
czekało śmierci jak wybawienia i modlili się tylko o miły

Po dość dużym okresie popędzono kobiety z rejestru przyjeźciowego nad morze i tu Janka spotkała ponownie stryja. Gdy ją zobaczył uklęknął i obejmując ją płakał wołając: ^{ty} -to-żyjesz?! A potem znaleźli się oboje na drupokładowej barce. Stryj był na górnym pokładzie i mógł podrzucić z góry swej bratanicy jakieś resztki starego buszlatu, a ta podzieliła się z tym swoją przyjaciółką, romanistką. Teraz już w Karelii często sobie we trójkę pomagali. Dziewczeta pracowały w szwalni /szwej-promy/-była przeważnie praca nocna i w ciepłym baraku, gdzie dziewczęta szyły wataowane spodnie, zaduch nieprawdopodobny, kobiet nie było które wierciły otworki w ścianach baraków /usiłowały przyszywać linki zaszerpnąć przy utworach bodaj trochę powietrza/ często szyły na akord "rębachy" /koszale/ One przyjaciółki siedziały obok siebie przyszywały "obrazowania" /tak mówiono Maniuta po "pierwemu" a Janka po "drugim" /szpakowały sobie koszule wzajemnie, a tak by, ewentualne nadwyki nie były zamorowane w obliczeniach normy. Początkowo "naściznalnica" wiele odrzucała, ale gdy nauczyły się oszukiwania, coraz bliżej były "słarnego". Szyły szybko na elektrycznych maszynach, które jak przypuszczają zrabowano Finom po .. "zwycięstwie" /maszyny się psuły i nikt nie umiał naprawić co było dobre dla "zakluczonych". W szwej-promie można było wyrobić normę gdy praca odbierana była zespokowo.

W okresie świąt Bożego Narodzenia, ze wspólnym porozumieniem Polki zorganizowano wspólne święta, zbitano trochę sucharów, promadzano cukier nawet z małych racji dodatkowych /współpraca dawała dobre rezultaty i zjawiały się często nawet przekroczenia norm /np Maria 200 "worników", "koźnierzyków" a Janka nawet do 240 i przy przesunięciu wyprodukowanych koźnierzyków i wyrównaniu do wystarczającej liczby otrzymały w końcu przybłuda. W święta Polki śpiewały kolędy i przy "Bóg się rodzi" - płakały, a nie Polki turkotem maszyn usiłowały zagłuszyć pieśni. Wspólne polskie świądanie było skromnym wspomnieniem lat ubiegłych, jedną porośnię i potem podobały do rozdających posiłki z prośbą o "dobawkę", z racji świąt i kuchenne prawdopodobnie dodałoby coś więcej, ale kuchenne i pomoc żeńska nie pozwalały na repetę, śpanie w dzień nie wystarczało dla organizmów wyniszczonej znowu i tu pojawiła się "ogarna" /szkorbut/ i inne choroby, ale klimat jakoś służył, tak, że powrót do innych obłaści i nawet w ten kraj nie cieszył - a poza tym życie i Stryj.

Polki w obozach i łagierach bardzo sobie - za siebie pomagały, i można było ufać sobie wzajemnie. Dlatego Jania po przesunięciu jej bardziej na Południe po opuszczeniu Karolo-Fińskiej, bolała, że nie ma z nią Kolczanki, z którą tak się bardzo żyła. I równocześnie rozstała się ze stryjem. Ten ostatni mimo swych chorób i kłopotów łagiernych przeżył czas pobytu w ZSRR, dotarł najpierw na Śr. Wschód z Armią Andersa i spotkał się z bratanicą dopiero w pół roku po rozpoczęciu zwalniania. Bo ona nie miała szczęścia by być wcześniej zwolnioną, ale ^{wrazem} zaraz po opuszczeniu łagieru, skierowano ją do powstałych oddziałów Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet - przeszła kursy nauki jazdy pojazdami wojskowymi, a potem na Środkowym Wschodzie zaangażowano ją do Junackich Szkół i Młodszych Oficerskich, jako nauczycielkę. Poznaliśmy się po wojnie i postanowiliśmy się połączyć węzłem rodzinnym. Mieliśmy wiele przykrych wspomnień z więzień i łagierów, z wędrówek po Środkowym Wschodzie i Wielkiej Brytanii.....

.....

A inni uczestnicy niedoli w ZSRR z mej rodziny.....

Z bratem rozstaliśmy się w Kotlasie w Peresysynym Punkcie, gdzie jego postano natychmiast na Północ i nie wiem dokładnie co się z nim stało - Pracował w tundrze, w lesie, i daleko ślady się wyciągają pomimo poszukiwań. Były wiadomości, że był kucharzą na barge na Syr-Darii, ale ta wiadomość nie ma potwierdzenia. Matka domyślała się że był na Ukrainie po dość późnym zwolnieniu z łagierów, ale uczył poszukiwania przez Czerwony Krzyż skończyły się inną wersją, że wyrzuciono go barkę, gdy był w łagierze, ale co dalej nastąpiło nie jest wiadomo i późniejsze poszukiwania dały najróżniejsze wiadomości, niestety fałszywe..... Albo zatopiono go najprawdopodobniej na barge albo zmarł na tyfus czy czerwonkę....

..... MATKA

Aresztowany z nami, szybko straciła kontakt z rodziną, a córce wiedziała tylko to, że została aresztowana we Łwowie i nawet nie wiedziała, że mają córki zginęły w pierwszych dniach ^{wizyty} na Pomorzu - tam we wrześniu 1939. Po udanej mojej wizycie w celi w Białej Górze nad Bugiem - ja od tej wizyty, którą mocno przeżyła, obawiając się o matkę, została z innymi kobietami wywiezioną do więzienia w Homiu. Pobyt w więzieniu przeżyła dość szczęśliwie dzięki uwięzionym Polkom, które bardzo się nią opiekowały. Te kobiety /wśród nich była jakaś kabaretowa śpiewaczka z Warstwy/ umiały zorganizować sobie życie więzień

Kobiety "koncerty", pogadanki i i dzieliły się nawet jedzeniem - szczególnie było to ważne w łagierach. Zasadzona przez NKWD, oczywiście bez rozprawy czy przesłuchania przeżywała w różnych łagierach na Białorusi i na Północy, Misiała pracowała trochę w lesie - nie wyrabiając normy i nie składując tylko dziaki młodem Polkom, które zawsze się dzieliły z nią swymi otrzymanymi z zewnątrz, albo z kuchni produktami. Potem pracowała w szwalni - gdzie o tyle było możliwe, że było cieplej i po pracy mogła leżeć. Najgorzej jej pracą była zajęcie w "bani" przy kąpielach mężczyzn, którzy często sypali secesyjnymi przekleśniętami.

Zawarła też znajomość ze starszymi Polkami, które umiały ją pocieszyć. Stała zagrożona: była troska o los o dzieci, o których słuch zaginął.

I przyszła "amnestja" - umowa Stalin-Bikorski i opuszczenie łagierów. Młode dziewczęta polskie zgłaszały się do Północnej Służby Wojskowej Kobiet a ona ze starszymi skierowana została poza Stalingrad do somechozu czy kolchozu. Trzymała się kuczerowo Polek, areszt i one polubiły ją i opiekowały się nią. Trafiła do kolchozu, gdzie były zarte z sobą rodziny i gdzie nie było dyskryminacji Polek. Tutaj nawet mały chłopak jednej z rodzin ukraińskich polubił ją i przychodził do niej z nośnikami kolchozowymi. - "Ciotka" - mówił do niej - "nieodnie budziła prażnik w kolchozie - budziat pseno" - święto, bo miało być gotowane paseno i ten chłopczyna wyobrażał sobie, że proszo to wspaniałą potrawa i chciał by stara kobieta z Polaki miała coś lepszego go jedzenia. Matka nasza bardzo mało rozumiała po ukraińsku, ale pracowała widocznie dobrze, skoro miała niemal zawsze normę wyrobioną, gdy pracowała w polu. Natomiast nie lubiła gdy polecano jej zajmowanie się wielbłądami i zbieraniem odchodów wielbłądzich na opak! Ale dzięki pobytowi w kolchozie nieraz dawała i cebulę, czy kawałek kawona. Gdy podeszli pod kolchoz Niemcy - natychmiast otworzyli bramy kolchozu i pozwolili iść, gdzie kto chciał. Matka i inne Polki były zaskoczono po pojawieniu się Niemców i ucieczką oddziałów czerwonych. Matka z drugą starszą, inteligentną kobietą postanowiły iść... do Polski, nie zdając sobie sprawy z trasy niemieckiej w nieznanym kraju, zajmowanym przez Niemców, i tak dalej! Matka przy rozliczeniu rozpadającego się kolchozu otrzymała parę rubli i woreczek ziemniaków i nieco cebuli jako jej "worek" ... Było to dla niej niezrozumiałe i szczęśliwe, bo to był zapas na drogę. Natomiast jej sukienka i buszlat były zniszczone, a białiana brudna i stara,

I poszły, z potwierdzeniem tożsamości na "przepustce" w językach niemieckim i rosyjskim, z niemiecką ~~przepustką~~ ^{przepustką} - A droga miała trwać około 3 miesiące i początkowo razem, dwie utrudzone, starsze kobiety, a którą potem rozdzielili, bo jedna dążyła do południowej Polski, a druga w kierunku na Pomorze.

Przygoty i ludzie przeciętni, a przede wszystkim wielka odwaga. Gdy obie panie szły razem, to i łatwiej było wspólnie naszerować, co ^{zyski} i gdzieś przepaść się na zmianę. I łatwiej było ugotować to "kipsiatka", to w popiele przypiec ziemniaki i tubyle, pozwoli usiąść w kuchni lub pod ścianą, a nawet pozwalano przepaść się w stodółce. Te nawet żołnierze niemieccy dawali zupę ze swych połowych kuchni lub kawałek chleba. Niemcy czuli się pewni siebie, wszak zwycięstwo szło za nimi i część ludności im sprzyjała, i dobrze było gdy pogoda była letnia. A potem nastąpiło rozstanie - przyjaciółki popłakały się i teraz samotnie trzeba było o wszystko zabiegać. Raz nasza Mama trafiła na wesele - Dostała i gotowaną potrawę i podkomęzki i pozwolono jej spać w sionce. Nawet zdarzało się dostać mleko, a potem było coraz gorzej, ~~nie~~ pozwalano kręcić się po obszaru domowym, musiała spać między rządami ziemniaków - wtedy też mogła wykubać ziemniaków, ukraść marchewki, ale przepędzano ją, bo obawiali się niemieckiej jakiejś szpicy, albo podejrzano o złodziejstwo lub szpiegostwo. Była brudna, szatki w ropach, były tylko przyponinane kształtem obuwie, mała znajomość języka nie pozwalała na opowiedzenie swej doli. Niemcy prześlądali jej "przepustkę" ~~nie~~ - zatrzymywali na różnych posterunkach i dlatego biedna kobieta wolała iść lasem, wolała omijać posterunki wojskowe i urzędy.

A wreszcie dotarła do posterunku granicznego "GG" i okupowanych przez Niemcy ziem rosyjskich, a ponieważ sukienka była w strzępach, cera spalona, brud i odór ciała, więc rzucono podejrzenie, że to szpieg. Decyzja krótka! "Pod ściankę", i nagle doza szczęścia. Węgierski oddział zmienił placówkę graniczną i nowy dowódca już Węgier ponownie przeskoczył. Schwytaną i z pomocą placówki w "G.G." zdecydowano wydać zezwolenie na dalszy marsz do Jasła. I dalej szczęście sprzyjało zakamanej kobiecie i dotarła do Gródka Jagiellońskiego, gdzie przypomniała sobie, że w Gródku mieszkali państwo Kostrzęscy, którzy w naszym domu rodzinnym w Jasle przebywali na "uciekinierce" w czasie I wojny światowej. Dowiedziała się adresu, ale w tym domu mieszkali tylko krewni tamtych

Siostra pracowała nieco w lesie i najdłużym "szwej-promie". Tam nauczyła się tego, co w Rosji robić dobrze, ale tylko dla siebie. Nauczyła się czytać i pisać przy obliczeniach ilości wykonanych rzeczy, oprócz: obcinane końcówki kalesonów czy koszul w zależności od tego jak odbiór był zaznaczony - wystarczyło umiejetnie ściągnąć już odebrane części garderoby i poobcinać znakowane końcówki, które już uprzednio były przydłużane, by potem skrócić.

Czasem imponowała daleceznym urodą, szykiem czy wiedzą niektórym żołnierzom i wtedy oni patrzyli przez palce na jej postępowanie przy pracy, czy w kuchni itd. Gorsze były "nacsalnice", które polecenia NKWDalstów wykonywały ścisłe, a nawet z przesadą. Ciekawe, że było w więzieniach i łagierach dziewcząt z republik pokusańcówych jak Uzbekistan, Kirgizja, Gruzja itp, podczas gdy było wielu mężczyzn z tych krajów.

Wiadomość o "amnestji" dotarła późno do tego łagieru, w którym była siostra. Dlatego znacznie później została zwolniona i na życzenie odesłana do kraju przylegającego do Altaj. Tutaj na sytych w kolechozach Polki kradły wspólne kołchzańskie dodro, tak jak uczyły ich kobiety rosyjskie, które chciało się zabezpieczyć na zimę, to znaczy mieć jakiś zapasik na zimę - kradli wszyscy pomidory i cebulę i zjadali na miejscu pracy, Gdy dowiedziała się siostra, że do polskiego wojska przyjmują i kobiety - uciekła ze swego kołchozu, przebyła około 50 km, nie spotykając nikogo, aż udało się jej dotrzeć do polskiej placówki i tam skierowano ją do pracy w szpitalu wojskowym. Sama też zachorowała na tyfus i tutaj nie pamięta wiele z tego co przeżywała. Podobno prosiła lekarza by jej nie dawał do miejsca przechowywania zwłok zmarłych w pozycji stojącej w "zamrażalce", w oczekiwaniu na kolejny transport, gdzieś do wspólnego rowu.

Ona odkryła, że bardzo usłużny Ukrainiec, obywatel pracujący przy pacjentach był na usługach NKWD, Takich "wtyczek" było wszędzie dużo i dlatego myśmy przy pracy komisji poborowej polskiej przed badaniami zorientować się ^{przejrzeć} czy są kandydaci do wojska.

Pół roku później niż ja siostra ze swoim szpitalem odesłana została do Iranu przez port w Krasnowodzku. Swoją pobyt na terytoriach ZSRR wspomina bardzo źle, A przymus bardzo wiele chorowała, a pracować musiała. Wyprowadzenie Korpusu gen Andarsa z ZSRR - to do tej chwili, uważa za cud.

Z silną spotkałam się w Palestynie zupełnie przypadkowo. Ona miała "100%" wiadomość o mojej śmierci w łagierze, a natomiast miała też o moim bracie wiadomości pozytywne, że był na zwłokę po spuszczeniu łagierów w kondycji dobrej. Takie wiadomości podawały nam różne instytucje z ZSRR. Wojska polskie na terenach Włoch otrzymała wiadomość o śmierci męża na Pomorzu, co się potwierdziło, tak jak żona ^{myła} miała wiadomość o tym, że jej brat poległ w pobliżu Kocka, już w ostatnich walkach polskiego żołnierza z Niemcami na terenie kraju.

VIII Nie przemieńże z wiatrem /didn't go with the wind..../

Jeszcze w 1942 r., na terenie ZSRR, w Szkole Pochrzących pod Gazarem śpiewaliśmy: "przeszliśmy drogi najcięższej nęki, lecz nie upadli pod knuten wrogów.... teraz nam dajcie bagnet do ręki, rozlejem rzekę, krew ich po drogach..." - pieśń żołnierska wyrażała nasze myśli - tak przeszliśmy drogi najcięższej nęki ^{tu} w kraju czerwonego teroru, gdzie człowiek stawiał się niewolnikiem, niedzielnym, zaszczerłym zwirzęciem, narzucano o Ojczyźnie i wolności. i tracącymi wiarę w sprawiedliwość i ludzkość - Nie widzieliśmy piękna krajobrazu, nocny zorzy polarniej, ubgiej roślinności tundry czy tajemne towarzyszyły nam głód, przebiegłość, ankerbut i tyfus czy szerołka, brak jakiegokolwiek okrycia i ludzie bez serca, psy szapiące za łachmany, to znowu: plaskiwy, kapiące z północy na nasze twarze, wazy w bieliznie i włosach, bite przez nas setkami, polny i szczury, które grały się od nas. I nadzieja, że nad nami jest Bóg i wtedy inna pieśń, której ^{bracie} współwierzniów - nie Polaków zakazywanb: ...-, o Panie, który ^{jest} na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń... do Ciebie wołamy z cudzych stron do Ciebie o wolność, Polskę i nasz kraj. - lub "serdeczna Matko..." i to pozwalało cierpieć i kochać tę naszą Polskę... w takich chwilach nadziei nawet zdawało się, że katorżnicza praca, brodzenie w lodowatej wodzie i więzienia, łagierzy wyrzucane dzieciące zwoki z wagonów, wdeptywanie w śnieg, wzniesienie czy zamrożone błoto zmarłych "Zakluczonych", którzy stale byli karmieni słowem: "póchniesz", wypędzani w głębokiej nocy na "prowierkę" by szybciej znaleźli przytułek bez normy, bez ostatniej modlitwy w tej przeklętej ziemi czy w oceanie na dnie może w przegnanej barce, a może i bez niej zabiurą od kuli w tyle głowy.... A te żyjące dzieci rozproszony ^{do} po azjatyckich częściach ^{ZSRR}, zdeprawowyna, ^{do} łasnając do zapomniałej już Ojczyźnie ^{według o pamiętności do} ^{moja}

Pamiętam jak raz będąc na urlopie nad morzem Śródziemnym, gdzieś koło Aleksandrii, znalazłem głośne wołanie: "Panie poruczniku... panie poruczniku.. - tutaj polski junak w kolonialnym mundurze pytał: "pamięta pan jak w kraju Uzbeków polska komisja naboru do wojska polskiego, znalazła mnie śpiącego pod kołchozem-pan dał mi chleba i herbaty.."-A pochwili dodał: "byłbym przepadł z głodu, ale wystawiliście mnie do powstającej szkoły junackiej, gdzie wojsko mnie karata i dom zastopowało i jeszcze uczono nas po polsku mówić, pisać na piasku i przewidziano nas z wojskiem Andersa tu do kraju pustyni i tutaj kończą już szkołę mechaniczną" tylko jest jedno-mysmy tutaj widzieli Sowietów i myśny wołali "kołchoźnicy", bo ze zgrozy na ich widok inaczej nie mogliśmy wyrazić naszej nienawiści. A poco oni tutaj przejechali-wygulili naszych rodziców, teraz co chcą tutaj byli to odbici przez aliantów jeńcy rosyjscy i tu pod Aleksandrią przebywający --if dodał: "wołali na nas 'Brat' -....

Tak tym chłopcom tylko miano "orków", się należało. bo co on przezycieł, ii, co przesłi. ..nieco później widziałem tych samych junaków w szyku marszowym idących z pieśnią na ustach ku morzu i wtedy to stojący obok mnie stary Arab powiedział: "^{Dechertam} "Młode iwy ~~polskie~~-szęglany..."- miał rację to były młode polskie iwy, którzy przeszli piekło za życia- i szli znova do walki o ojczyznę... A ciacy w walce stuzkiej byli wszędzie: ~~na~~ w pustynnych piaskach Środkowego Wschodu, w Indiach, w Chinach, pod kulami i bombami, na oceanach, czy w Anglii a tysiące mogli nieznanymi zostawili tam w kraju zakłamania, nienawiści, le przeminie z wiatrem ~~to~~ ^{często} ~~szęglana~~ melodja przy wymarszu do pracy nad ziłą na ~~każde~~ "wychodziła na bierach Katiusza", ni piśń "oczeń charosza"-A: ja takiej drugiej strony nie znajdu, gdzie tak w o l n o d y s z y t "człowiek"--tak "w o l n o d y s z y c ..niestety naprawdę wolno! Trudno dzisiaj oddać to, co na kartach naszych przeżyć się jawiło-tylko w ^{tem} kraju- można brać zwątpić w człowieka.

Stanisław Turvey

Ix Spis treści.

str,	nr.rozdziału	treść.
1.	I.	w Horochowie.
13.	II.	Aresztowanie i więzienie.
20.	III.	Łagierzy poprawcze-obozy karne.
24.	IV.	Obrazy z łagierów.
46.	V.	Ostatnie tygodnie pobytu w łagierach.
53.	VI.	Wojsko polskie.
58.	VII.	Jeszcze o sowieckiej przemocy,
71.	VIII.	Nie przeminęło z wiatrem.
73.	IX.	Spis treści.